Rok IX. Nr. 9. WRZESIEŃ 1948 r. Cena 6d.

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

ROBOTNIK POLSKI
W WIELKIEJ BRYTANJI

Niech żyje rząd robotniczy i włościański!

Niech żyje Socjalizm!

"The POLISH WORKER in Great Britain."

Sponsored by the Polish Socialist Party (P.P.S.).

Redakcja i administracja — Editorial and Business Offices 8, Motcomb Street, London, S.W.1 Tel.: SLOane 0961.

Prenumerata kwartalna 1 s. 6 d. półroczna 3 s., roczna 6 s.

Ceny ogłoszeń podajemy na żądanie. — Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Redaktor: Adam Ciołkosz.

HEREZJA GOMUŁKI

Zarzuty, postawione Gomułce w rezolucji Plenum Komitetu Centralnego PPR a potem w referacie Bieruta na Krajowej Naradzie Aktywu PPR, można podzielić na dwie grupy. Na pierwszym miejscu znajduje się **niedocenianie roli Związku Sowieckiego;** kiedy i gdzie? w przeszłości i w teraźniejszości, w polityce międzynarodowej i w życiu wewnętrznym Polski. Moskwa jest coraz czulsza na to właśnie „odchylenie"; można przypuszczać, że wkrótce zostanie ponownie proklamowane hasło, iż „Związek Sowiecki jest (jedyną) ojczyzną pracujących całego świata". Hasło to jest Moskwie potrzebne przede wszystkim na wypadek nowej wojny; w dawnej czy nieco zmodyfikowanej formie, ma ono Sowietom zabezpieczyć własne tyły (na Wschodzie Europy) a ponadto zapewnić życzliwość i pomoc mas ludowych dla inwazyjnych armii sowieckich (na Zachodzie Europy). Z taką to zapewne myślą o przyszłości, wytyka Bierut, iż na przełomie lat 1943-44 „niektórzy towarzysze" w PPR nie rozumieli, że **„potęga zbrojna ZSRR"** jest „nie tylko siłą wojennego alianta", lecz także „siłą rewolucyjną i wyzwoleńczą, siłą klasowo-sojuszniczą", a współdziałanie z nią jest sprawą „szczególnej wagi".

Z zarzutem niedoceniania roli Związku Sowieckiego łączy się ściśle żądanie zrewidowania stosunku do zagadnienia **niepodległości Polski.** Wyniki tej rewizji? W „samokrytyce" Gomułki, przeprowadzonej na Plenum KC PPR i opublikowanej w całej prasie krajowej, znajdujemy taką sztandarową tezę, teraz już stuprocentowo prawomyślną:

„Polska odzyskała niepodległość w 1918 r. nie wskutek zwycięstwa wojennego jednego z zaborców lecz dzięki obaleniu caratu przez rewolucję rosyjską".

Jasne, że nie wskutek zwycięstwa wojennego jednego z zaborców, boć na szczęście wszyscy trzej zaborcy wojnę przegrali. Ale to nie wyczerpuje jeszcze sprawy! Niepodległość Polski urzeczywistniła się w r. 1918 w określonych warunkach historycznych, na które złożyły się trzy elementy: 1. rewolucja w Rosji (która wybuchła po klęskach, zadanych wojskom caratu przez wojska mocarstw centralnych), 2. zwycięstwo wojsk koalicyjnych nad armiami mocarstw centralnych na froncie zachodnim i bałkańskim, a potem rewolucje i przewroty w Niemczech i Austrii, 3. **wola niepodległościowa ludu polskiego, robotników i chłopów polskich.** Bez tej zdecydowanej woli, której wyrazem stał się w listopadzie 1918 r. rząd ludowy w Lublinie z Daszyńskim na czele, nie byłoby niepodległej Polski nawet mimo rewolucji w Rosji. Wyrazem tej woli niepodległościowej napewno nie była ówczesna Socjalna Demokracja Królestwa Polskiego i Litwy (SDKPiL) ani PPS-Lewica (z wyjątkiem grupy t. zw. opozycji robotniczej); była nim na terenie robotniczym: PPS zaboru rosyjskiego, PPS zaboru pruskiego i PPSD zaboru austriackiego. Rozumiał to w pewnej mierze Gomułka, gdy jeszcze był kacerzem, kiedy w lipcu b. r. twierdził, iż „w sprawie niepodległości Polski PPS wykazała wiele realizmu politycznego" oraz że „walka o niepodległość należy do pięknych tradycyj PPS, które winniśmy złożyć u podstaw zjednoczonej partii". **To właśnie musiał teraz odwołać.**

Z rewizją stosunku do zagadnień niepodległości łączy się rewizja stosunku do **Komunistycznej Partii Polski (KPP).** Gomółka, bijąc się w piersi, przyznaje, iż „niesłusznie podszedł do zagadnienia oceny działalności KPP" w latach dawno minionych, albowiem:

„KPP, mimo ciążących na niej błędów luksemburgizmu i nieprzezwyciężenia tych błędów do końca, była wówczas jedyną partią w Polsce, która łączyła nierozerwalnie walkę w obronie niepodległości Polski z walką o wyzwolenie społeczne klasy robotniczej i mas pracujących".

Te słowa, to czek bez pokrycia w faktach historii! Wiadomo przecież, że komuniści polscy swój ideał Polski „niepodległej" pojmowali podobnie, jak „niepodległość" Ukrainy (sowieckiej) albo Gruzji (sowieckiej) i w tym sensie Gomułka nawrócony ma rację; KPP była jedyną partią w Polsce, która pragnęła takiej-to niepodległości „typu baszkirskiego". Pamięć stosunku KPP do zagadnień niepodległości Polski ciążyła młodszej generacji komunistów polskich, jak garb; wili się też oni jak piskorze, byle przekonać klasę robotniczą, że PPR nie jest partią komunistyczną.

Teraz następuje pełne i jawne przyznanie się PPR do dorobku duchowego Komunistycznej Partii Polski — i więcej jeszcze, bo już za jednym zamachem złożony także został czołobitny pokłon dla partii komunistycznej Związku Sowieckiego, czyli WKP(b). Jakoż wrześniowe plenum KC PPR surowo wytknęło Gomułce „niezrozumienie przodującej roli WKP(b) w międzynarodowym froncie walki przeciwko imperializmowi". Jednocześnie rezolucja Plenum kładzie kres fantazjom, którymi Hochfeld i jemu podobni przez czas długi bałamucili swych czytelników i słuchaczy, jakoby pod rządami „Bezpieki" mogła funkcjonować własna i odrębna „formuła chemiczna" socjalizmu polskiego. Mianowicie rezolucja Plenum z dnia 3 września b. r. obwieszcza proletariatowi polskiemu następującą „prawdę":

„...polska droga do socjalizmu jest tylko odmianą ogólnej drogi do socjalizmu, odmianą, opartą na doświadczeniach budownictwa socjalizmu w ZSSR z uwzględnieniem nowych możliwości historycznych i specyficznych warunków rozwoju historycznego Polski".

Stąd w rezolucji PPR wniosek, iż w krajach „demokracji ludowej" realizacja socjalizmu (w rzeczywistości — sowietyzacja) wymaga **coraz ściślejszego współdziałania z ZSRR;** jest ono również konieczne „na tle zaostrzającej się sytuacji międzynarodowej". Tego — jak się okazuje — nie rozumiał Gomułka, któremu Bierut zarzuca „narodową zaściankowość, narodową ograniczoność". Co więcej, całej partii wytyka Bierut, iż „zbyt słabą i niedostateczną" była praca

„...w dziedzinie zaznajomienia jej z doświadczeniami budownictwa socjalistycznego ZSRR. Niczego w szczególności nie dokonaliśmy w ciągu całego okresu Polski Ludowej dla zaznajomienia Partii z życiem socjalistycznej wsi radzieckiej, dla udostępnienia jej prawdy o budownictwie kołchozów, dla uodpornienia jej przeciw kłamliwemu, fałszywemu przedstawianiu sytuacji na wsi radzieckiej przez reakcję".

I tu dochodzimy do drugiej herezji Gomułki; jeżeli pierwszą była „fałszywa z gruntu, antyleninowska postawa w kwestii narodowej", to drugą — „fałszywa z gruntu, oportunistyczna postawa **w kwestii chłopskiej".** A przecież na porządku dziennym — powiada Bierut — jest zaostrzająca się walka klasowa na wsi: z jednej strony chłopstwo biedne i średnie, z drugiej — bogacze wiejscy.

Oczywiście, na wsi polskiej istnieją z dawien dawna różnice położenia klasowego, a tym samym różnice interesów. „Program Polski Ludowej" (1941) domagał się, by podstawą ustroju rolnego w Polsce był „samodzielny warsztat rolny, obrabiany rękami osiadłej na nim rodziny"; za typ takiego gospodarstwa uznała podziemna Rada Jedności Narodowej (1944) gospodarstwo od 8 do 15 hektarów ziemi, zależnie od klasy gruntu i okręgu rolniczego, zaś za maksymalną granicę posiadania ziemi, nie podlegającą wywłaszczeniu, przyjęła 50 ha. „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego" (komitet lubelski, 1944) za taką granicę przyjął 50 ha, a na terenach przyłączonych do Rzeszy w zasadzie 100 ha. Ta górna granica posiadania ziemi została potem przez reżym „demokracji ludowej" zalegalizowana. Czyżby komunistom chodziło obecnie o to, by zmniejszyć rozpiętości w obszarze posiadanych gospodarstw indywidualnych i by zbliżyć wieś do zasady gospodarstwa jednorodzinnego? Bynajmniej. **Komuniści zmierzają do „gospodarki zespołowej" czyli do kołchozów,** a kołchozów nie chce wśród chłopów nikt, nawet chłopi mało- i średniorolni. Wprawdzie tempo kolektywizowania rolnictwa przez rząd warszawski będzie regulowała jego możliwość dostarczania „gospodarstwom zespołowym" traktorów oraz benzyny, a więc istotnie może ono być powolne, ale następstwa psychologiczne uchwał PPR i mowy Bieruta będą zapewne szybkie i powszechne; już zanotowano w tym roku przedwczesne żniwa w niektórych okolicach, a potem przyszło masowe wyzbywanie się bydła i nierogacizny. Obawiamy się, że z biegiem czasu cały kraj odczuje dotkliwie spadek produkcji rolnej; po jakimś czasie stopa życiowa ustabilizuje się coprawda, ale już na poziomie znacznie obniżonym. Los zarówno chłopa jak i robotnika miejskiego w Polsce upodobni się do losu przeciętnego obywatela sowieckiego, i zapewne o to właśnie chodzi.

Herezja Gomułki — twierdzi rezolucja Plenum KC PPR — stanowiła faktyczną kapitulację ideologiczną przed „nacjonalistycznymi" tradycjami PPS. Jakże potężna być musi siła tradycji PPS na ziemi polskiej, skoro ugiął się przed nią sam sekretarz generalny PPR, zwany „małym Stalinem"! Doprowadzono go jednak „do porządku"; Gomułka odwołał swoje błędy". „Głos Ludu" twierdzi, że wrześniowe Plenum KC PPR przejdzie do historii polskiego ruchu robotniczego. Napewno przejdzie do niej — jako dalszy krok w kierunku sowietyzacji Polski. Terrorem i kłamstwem, zaszli komuniści w Polsce daleko. Są jednak granice skuteczności terroru, zaś kłamstwem można świat przejść, ale zawrócić nie sposób. Pozostawiając wszędzie na swej drodze rozpacz i gniew mas robotniczych i chłopskich, komuniści i renegaci socjalizmu odcinają sobie sami drogi odwrotu i zacieśniają krąg swego odosobnienia. Mogli oni zlikwidować herezję Gomułki, mogli go zmusić, by powrócił tam, skąd wyszedł, to jest w łożysko komunistycznej prawowierności i posłuszeństwa. Ale uporać się z siłą tradycji PPS w masach proletariatu, wydrzeć wiarę w PPS z dna serc robotniczych — tego komuniści dokazać nie potrafią.

A. C.

STALIN CZY TITO?

Wyrzucenie Partii Komunistycznej Jugosławii (KPJ) z Kominformu — który obecnie odsłonił swe prawdziwe oblicze egzekutywy wszystkich partyj komunistycznych — jest niewątpliwie jednym z najznamienniejszych wydarzeń, jakie zaszły w okresie powojennym.

Sprawa Tity przybiera na znaczeniu w świetle postanowień piątego kongresu KPJ, odbytego w Belgradzie w dniach 21 do 29 lipca br.: delegaci na kongres jednomyślnie uchwalili zapewnić Ticie i jego współpracownikom swe poparcie.

Stawką w grze jest prestiż Stalina, Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego i Kominformu. Tito nie rzucił przecież komunistycznemu prestiżowi wyzwania li tylko z czystego awanturnictwa, po to jedynie, by osiągnąć jakiś swój cel osobisty a potem w skrusze dać sobie założyć wędzidło na nowo.

Tylko ci, którzy sądzą, że stalinowski system kontrolny wciąż funkcjonuje doskonale, tylko ci są zdania, że epizod jugosłowiański jest jedynie jedną jeszcze sztuczką komunistyczną.

STALINOWSKI SYSTEM KONTROLNY

Początkowo niejeden sądził, iż ujawnienie zatargu pomiędzy Titą i Kominformem jest tylko jedną z wielu zwykłych gierek sowieckich. Dnia 27 marca br. Komitet Centralny partii bolszewickiej ZSRR po raz pierwszy wysunął oskarżenie przeciw Komitetowi Centralnemu KPJ i powiadomił o nim wszystkich członków Kominformu, z wyjątkiem Jugosłowian. Dnia 28 czerwca pojawił się w Pradze (w „Rudem Prawie“) pierwszy publiczny komunikat w tej sprawie. Dlaczego stalinowski system kontrolny miałby zawieść właśnie w okresie trzech miesięcy między tymi dwiema datami? Rzecz naturalna, że początkowo mogło się wydawać, iż gdyby cała sprawa nie była poprostu jedną jeszcze gierką, to Tito najniezawodniej byłby został odrazu uprowadzony przez NKWD.

Sprawy Kamieniewa, Zinowiewa, Rykowa, Bucharina, Radka i innych czołowych komunistów w Związku Sowieckim pokazały całemu światu, jak funkcjonuje stalinowski system kontrolny. Wszyscy ci ludzie „wyznali“ swe przewinienia i zostali „zlikwidowani“. Sprawy marszałka Tuchaczewskiego i tysięcy jego oficerów, których zgładzono, stały się klasyczną ilustracją sprawności stalinowskiego systemu kontrolnego. Obecni premierzy satelickich rządów w sowieckiej strefie wpływów zapewne wiedzą dobrze, że prędzej czy później — wszyscy premierzy republik sowieckich zostali „zlikwidowani“. Takie jest bowiem nieuniknione prawidło sowieckiego systemu rządzenia.

Stalinowski system kontrolny funkcjonował doskonale poza granicami ZSRR aż do wypadku z Titą. Kiedy w sierpniu 1939 r. zawarty został pakt pomiędzy Rosją stalinowską a Niemcami hitlerowskimi, wszystkie partie komunistyczne w całym świecie zmieniły swe stanowisko dosłownie w ciągu jednej nocy. Kiedy w lipcu 1942 radio „Wolna Jugosławia“, działające w Tyflisie na terytorium sowieckim, po raz pierwszy podało do wiadomości, że generał Michajłowicz jest „zdrajcą“ — prasa komunistyczna całego świata bezzwłocznie przestała pisać o Michajłowiczu jako o „bohaterze i wodzu oporu jugosłowiańskiego“ — jakim go zwała do tej pory — i zaczęła odnosić się do niego jako do „kolaboratora“. By zrozumieć, jak doskonale działał swego czasu stalinowski system kontrolny, wystarczy przypomnieć sobie, jak jednym pociągnięciem pióra w Moskwie zlikwidowani zostali Brandler, przywódca komunistycznej partii Niemiec, albo Lovestone i Browder, przywódcy amerykańskiej partii komunistycznej.

Polski, Rumunii, Bułgarii, Czechosłowacji, Węgier, Jugosławii i Albanii nie spotkał los, jaki stał się udziałem państw bałtyckich — tylko dla szczególnych przyczyn natury politycznej i dyplomatycznej. Kraje te nie przystąpiły „dobrowolnie“ do zawsze otwartej federacji republik sowieckich. Premierzy wszystkich tych krajów satelickich, włącznie z Titą, otrzymali władzę w ręce z woli Stalina, który liczył na ich bezwarunkowe posłuszeństwo. Jednakże premierom tym przyznano więcej swobody, niż premierom krajów Związku Sowieckiego. Do czasu sprawy Tity, stalinowski system kontrolny działał doskonale, ponieważ we wszystkich krajach satelickich działała NKWD, jak również sowieccy eksperci cywilni i wojskowi. System kontrolny funkcjonował dobrze, dopóki przywódcy nie zostali premierami i jak długo potrzebowali oni pomocy wojskowej, politycznej i dyplomatycznej od Stalina. Skoro tylko ten czy ów zakosztował władzy i nabrał sam o sobie przekonania, że jest „prawdziwym przywódcą“ (to jest — zgodnie z naukami Stalina — dyktatorem) bodaj na małą skalę, z tą chwilą postawa jego ulegała zmianie. Teraz miał on już swą własną tajną policję, swą własną armię i swą własną partię komunistyczną, funkcjonującą z dyscypliną niemal wojskową.

WALKA TITY O NIEZALEŻNOŚĆ

Są wszelkie podstawy do przypuszczenia, że stalinowski system kontrolny osłabł — i to jest pierwsza przyczyna kłótni w rodzinie komunistycznej. Na tle zachwiania się stalinowskiego systemu kontrolnego, przed pewnym czasem rozeszła się pogłoska, iż dojrzała już pora wcielenia krajów satelickich, jednego po drugim, poczynając od Rumunii — do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Z tej to przyczyny Stalin odrzucił pomysł premiera bułgarskiego, Jerzego Dymitrowa, by utworzyć federację bałkańską jako ucieleśnienie marzeń wszystkich partyj komunistycznych na Bałkanach. Jerzy Dymitrow, najbardziej prawowierny i najwierniejszy Stalinowi komunista w Europie, bezzwłocznie odstąpił od swego projektu, skoro tylko Stalin ujawnił sprzeciw. Tito jednak — jak się zdaje — wciąż myśli o utworzeniu federacji bałkańskiej, obejmującej nie tylko Jugosławię (w pozycji kluczowej), Bułgarię i Albanię, ale o szerszej unii, obejmującej również Grecję i Rumunię. Tito pragnąłby, by ta federacja bałkańska była federacją komunistyczną, niezależną od Moskwy. To — jak się zdaje — było drugą przyczyną kłótni w komunistycznej rodzinie. Po myśli totalizmu stalinowskiego, w wszechświatowym systemie komunistycznym nie ma miejsca dla dwóch ośrodków centralnych i dla dwóch wodzów.

DALEKOSIĘŻNE NASTĘPSTWA SPRAWY TITY

Nie ma dziś żadnej wątpliwości, że wszyscy komuniści poza Jugosławią są przekonani, iż Tito wraz z swą grupą musi być zlikwidowany, o ile prestiż Stalina i sztabu komunistycznego ma być ocalony. Prasa komunistyczna w całym świecie jednomyślnie atakuje Titę i Partię Komunistyczną Jugosławii.

Z drugiej strony, Komunistyczna Partia Jugosławii na swym piątym kongresie pokazała, że jest „zjednoczona i monolityczna“ w swym poparciu dla Tity i jego przyjaciół. Jak zazwyczaj w każdej partii komunistycznej, wszyscy delegaci głosowali jednomyślnie; jednomyślnie odrzucili więc wszystkie zarzuty Kominformu i bez jednego słowa opozycji — entuzjastycznie wyrazili swe pełne poparcie dla Tity i zaufanie do niego. Wśród komunistów w Jugosławii opozycja w stosunku do Tity jest nieznaczna, jeśli sądzić z oficjalnej prasy jugosłowiańskiej i z wiadomości, jakie przeciekają przez starannie strzeżoną granicę. Mogłoby się wydawać, że cała Jugosławia jest po stronie Tity, jako że Tito jest „bohaterem narodowym“. Wiemy jednak o kilku bardzo poważnych wyjątkach. Np. Jean Cannon, korespondentka ajencji „Telepress“ w Belgradzie, została wezwana do opuszczenia Belgradu w przeciągu 24 godzin, ponieważ odmówiła ona odwołania swej depeszy, wysłanej w dniu 1 lipca do „Telepress“, w której donosiła, iż organizacja KPJ na uniwersytecie belgradzkim ostro skrytykowała marszałka Titę i Komitet Centralny KPJ za ich stanowisko wobec uchwały Kominformu. Poseł Tity w Rumunii, p. Golubowicz, podał się do dymisji na znak opozycji przeciw kierownictwu KPJ oraz sympatii dla postanowień Kominformu. Generał A. Jowanowicz, strategista wojskowy Tity oraz jego szef sztabu w latach partyzantki, został zabity w czasie próby ucieczki do Rumunii; towarzysząćy mu generał Branko Petryszewicz został ujęty, podobnie jak pułkownik Włado Dapczewicz, brat słynnego generała Peko Dapczewicza; czwarty z nich, S. Arabijac, dyrektor majątków państwowych nad granicą, został zabity. Do tej pory tylko kilku dyplomatów jugosłowiańskich odmówiło powrotu do Belgradu i podało sę do dymisji. Jednakże nagła zmiana ministrów w rządzie czarnogórskim, narzucona przez Belgrad po kongresie KPJ, ma swoją wymowę. Oczywiste jest, że KPJ jest wewnętrznie podzielona, ale nie da się jeszcze ocenić rozmiarów rozłamu.

Masy jugosłowiańskie w kraju są zadowolone z kłótni w komunistycznej rodzinie, gdyż widzą one w niej rąbek nadziei, że uda im się oswobodzić zarówno od Tity jak i od Stalina. Bardziej umiarkowane żywioły wierzyły w możliwość zbliżenia się do Zachodu — z Titą na czele tego ruchu, ale rychło nadeszło rozczarowanie, gdyż do tej pory nie nastąpiło nic w tym rodzaju.

Zwolennicy partii komunistycznej stanowią w Jugosławii oczywistą mniejszość polityczną. Rzućmy okiem na kilka cyfr oficjalnych, podanych na piątym kongresie przez generała Rankowicza, ministra spraw wewnętrznych. Przed drugą wojną światową było w Jugosławii 12.000 członków partii komunistycznej; w czasie wojny 9.000 spośród nich poległo, zaś 141.066 nowych członków wstąpiło do partii. W dniu 1 lipca 1948 partia miała 468.175 członków, w tym 231.333 to jest 49,41% chłopów, 138.236 to jest 29,53% robotników i 11.277 to jest 6,68% inteligentów. Byli oni reprezentowani na piątym kongresie w następujący sposób: na 2.344 delegatów było 979 robotników, 525 chłopów, oficerów i podoficerów, 499 inteligentów, 154 urzędników państwowych i 138 studentów. Piąty kongres wybrał do Komitetu Centralnego KPJ 33 inteligentów, 28 robotników i tylko dwóch chłopów. Jak widać, 70% ludności Jugosławii — chłopi — reprezentowane jest obecnie w najważniejszym ciele politycznym Jugosławii tylko przez dwóch członków.

Stronnicy KPJ najwidoczniej obawiają się, jak się ten incydent skończy? Jednakże maszyna partyjna, w której ważnym czynnikiem jest tajna policja (OZNA), wciąż świetnie funkcjonuje i udało się jej dopuścić do udziału w piątym kongresie tylko takich delegatów, na których można było z góry polegać, że poprą Titę we wszystkich sprawach, znajdujących się na porządku dziennym kongresu. W ten sposób maszyna KPJ udowodniła, że jest pojętnym uczniem swego bolszewickiego nauczyciela.

Kłótnia w rodzinie ujawniła wiele prawd, nieznanych do tej pory. Na piątym kongresie delegaci mówili otwarciej i szczerzej, niż kiedykolwiek przedtem. Ponadto, publiczne pranie brudnej bielizny KPJ odbywa się wciąż na łamach prasy i w broszurach, rozdawanych przez sowieckich ajentów. Wszystko to stanowi jeszcze jeden dowód, iż stalinowski system kontrolny słabnie. Oto, co odkrył belgradzki korespondent „Prawdy“ moskiewskiej i co zostało ogłoszone w wymienionym dzienniku, nadane w Moskwie przez radio, odczytane delegatom na kongresie i opublikowane w całej prasie jugosłowiańskiej:

(1) Kongres KPJ został zorganizowany i obraduje pod terrorem grupy kierowniczej KPJ.

(2) W związku z powyższym, ci wszyscy, którzy bronili rewolucyjnych zasad marksistowsko-leninowskich przeciw nacjonalizmowi grupy kierowniczej KPJ — zwłaszcza w Macedonii i Serbii — zostali uwięzieni.

(3) Przywódcy obecnej KPJ utrzymują się na powierzchni nie dzięki słuszności swego stanowiska, lecz dzięki swemu uzbrojeniu. Rozległe stosowanie przez nich metod terrorystycznych ma na celu rzucenie postrachu na masy partyjne oraz przymuszenie delegatów na kongres, by głosowali za wszystkim, co im ich przywódcy nakażą.

(4) Ten system represyj terorystycznych, przeprowadzany przez janczarów Rankowicza, wykazał, iż przywódcy KPJ naśladują faszystowskie metody Doriota i Mussoliniego.

Rzadko zdarza się, by Moskwa była tak prawdomówna i tak szczera!

Kiedy Neszkowicz, premier Serbii, odczytał to oświadczenie delegatom na piąty kongres, cała sala jednomyślnie zaprotestowała i zerwała się z miejsc, wykrzykując: „Tito! Tito! Tito to nasz bohater!“ Po raz pierwszy w dziejach komunizmu, stalinowski system kontrolny działał — na wspak!

Jest wszelki powód do przypuszczenia, że korespondent „Prawdy“ powiedział prawdę. Sytuacja tego rodzaju nie jest bowiem niczym nowym w partii komunistycznej. Naczelna ce-

cha KPJ, jako partii totalitarnej a nawet tyrańskiej, uwidoczniła się jasno na kongresie w dniu 28 lipca, gdy Neszkowicz omawiał zmiany w statucie KPJ. Powiedział on (wedle belgradzkiego dziennika „Politika" z dnia 29 lipca 1948):

„Jest tu poprawka, że kara wydalenia z partii winna opiewać albo na wydalenie „z prawem powrotu" albo na wydalenie „bez prawa powrotu". Tę poprawkę trzeba odrzucić, albowiem kara wydalenia z partii jest karą najpoważniejszą i — jeśli ją porównać z karą stosowaną w armii — kara wydalenia z partii odpowiada karze śmierci w armii".

Z deklaracji tej jasno wynika, iż partia komunistyczna jest armią polityczną, która nie znosi żadnej opozycji i żąda bezwzględnego posłuszeństwa rozkazom swych dowódców.

NIE MA RÓŻNICY MIĘDZY OLIGARCHIĄ TITY I OLIGARCHIĄ STALINA

Dzisiaj nawet Moskwa przyznaje publicznie, że Jugosławia rządzona jest przez oligarchię (rządy kilku osób), na czele której stoi Tito. Prawdą jest, że oligarchia Tity jest dokładną i wierną kopią oligarchii stworzonej przez Stalina. Tito wyuczył się metod Stalina. Zna on dobrze historię walki bolszewików o władzę i zna on także los, jaki spotkał nieposłusznych oraz tych, którzy wprawdzie słuchali ślepo tak jak umieli ale którym nie powiodło się wywiązanie się z powierzonych im zadań. Wie on, że Stalin zawsze bezlitośnie karał za niepowodzenie. Idąc śladami mistrza, Tito ukarał kilku swych najlepszych przyjaciół, np. Żujewicza i Hebranga, kierowników planu 5-letniego. Ale jakże to ludzie ci mogli byli organizować i przepowadzać plan przez tyle czasu, jeśliby nie byli mieli poparcia Tity a nawet Stalina? Plan ich z góry skazany był na niepowodzenie, gdyż był w fantastycznym stopniu niewykonalny — lecz ktoś musi ponieść karę za klęskę planu! Wódz — Tito — jest nieomylny, zatem nie można go karać. Oto psychologiczna atmosfera, jaka rozwinęła się wokół osoby Tity.

Dr. Milosz Sekulicz

TĘPIENIE SOCJALIZMU
W KRAJACH „DEMOKRACJI LUDOWEJ"

✱ Przywódca niezależnej rumuńskiej partii socjalno-demokratycznej, Konstanty Titel Petrescu oraz sekretarz tej partii Adrian Dimitriu zostali z początkiem maja br. aresztowani i wywiezieni do Rosji.

✱ Dnia 31 sierpnia b. r. ogłoszono w Sofii, iż siedmiu posłów socjalno-demokratycznych, z Kostą Lulczewem na czele, zostało oskarżonych o „działalność antypaństwową". Sześciu z nich pozostaje w więzieniu od początku czerwca b. r.; siódmy, dr. Jerzy Petkov, przedostał się na samolocie do Istambułu i przebywa obecnie w Turcji. Prezydium Wielkiego Zgromadzenia Narodowego (czyli parlamentu) dało swą zgodę na aresztowanie tych posłów. Na wolności pozostaje jeszcze tylko dwóch posłów socjalno-demokratycznych; są to ostatni przedstawiciele opozycji w bułgarskim „parlamencie".

✱ Dziennik reżymowych socjalistów „Narod" w Sofii przestał wychodzić.

✱ W dniu 11 sierpnia br. uroczyście ogłoszono w Sofii połączenie się (reżymowej) bułgarskiej partii socjalistycznej z bułgarską partią robotniczą (komunistów). Na uroczystości połączeniowej głównym mówcą imieniem partii socjalistycznej był Bułgaranow, imieniem komunistów — Czerwenkow.

✱ W dniu 6 lipca rada narodowa trybunałów ludowych zatwierdziła wyrok na Karola Peyera i jego „wspólników"; Peyer skazany został zaocznie na 8 lat więzienia, R. Gabor na śmierć, inni na długoterminowe więzienie. Karol Peyer przez długie lata był członkiem parlamentu i przywódcą węgierskiej partii socjalno-demokratycznej; z początkiem stycznia b. r. udało mu się opuścić potajemnie Węgry i wydostać się zagranicę.

✱ Budapeszteński dziennik socjalno-demokratyczny „Nepszava", o dawnej i świetnej tradycji, przeobrażony został w organ związków zawodowych i oddany w ręce komunistów.

✱ Praski dziennik „Pravo Lidu", najstarszy dziennik czeski, organ czechosłowackiej partii socjalno-demokratycznej, przestał wychodzić; w dniu 30 czerwca br. ukazał się ostatni numer. Na miejsce „Prava Lidu", prenumeratorzy otrzymują komunistyczne „Rude Pravo".

✱ Ajencja „Tanjug" podaje, że (koncesjonowana) jugosłowiańska partia socjalistyczna przestała istnieć w dniu 8 lipca br. Komitet wykonawczy tej partii złożył w ministerstwie spraw wewnętrznych pismo, którym powiadamia, iż decyzja likwidacyjna została powzięta „skutkiem niemożliwości zwołania kongresu partyjnego, nalegań organizacyj miejscowych oraz szczupłej liczby członków".

✱ Sowieckie władze okupacyjne zawiesiły całą prasę socjalistyczną, wychodzącą w Austrii Dolnej. Zarząd austriackiej partii socjalistycznej powziął ostrą uchwałę, protestującą przeciw temu zarządzeniu, jako sprzecznemu z prawem austriackim i wykraczającemu poza uprawnienia sowieckich władz okupacyjnych. Uchwała zapewnia socjalistów w sowieckiej strefie okupacyjnej, iż cała partia udzieli im poparcia w ich walce o niezależność.

„NIE BĘDZIE WOJNY O BERLIN"

Tow. Harry Hynd reprezentuje w parlamencie robotniczą gminę północnego Londynu, Hackney, w której jest również ławnikiem miejskim i sędzią pokoju. W ministerstwie obrony narodowej pełni on funkcje Parliamentary Private Secretary, co odpowiada stanowisku podsekretarza stanu czyli wiceministra. W Labour Party tow. Harry Hynd reprezentuje skrzydło lewego centrum. Jako były urzędnik kolejowy bierze on czynny udział w życiu potężnego Związku Zawodowego Urzędników Kolejowych (Railway Clerks' Association). Z tych wszystkich tytułów tow. Harry Hynd ma wszelkie prawo do zabierania głosu jako rzecznik wielkiej rodziny robotników brytyjskich. Można też dodać, że jego brat był do niedawna ministrem dla spraw niemieckich w rządzie labourzystowskim, oraz że tow. Harry Hynd zna doskonale problem niemiecki.

Rozmowę zaczęliśmy od blokady Berlina przez rząd sowiecki. Pierwsze pytanie nasze brzmiało więc:

— Co myślicie, towarzyszu pośle, i co myśli angielska klasa robotnicza o sprawie berlińskiej? Czy możliwe, by rozpętała ona trzecią wojnę powszechną, bellum omnium contra omnes?

— Nie — brzmi odpowiedź. — Nie będzie wojny z powodu Berlina, choćby dlatego, że Moskwa bluffuje. Władcy sowieccy wiedzą zbyt dobrze, że nikt na zachodzie wojny nie chce; Anglicy chcą jej mniej niż Amerykanie, Francuzi mniej niż Anglicy. Te właśnie uczucia pokojowe narodów zachodnich wyzyskują Sowiety, aby zastraszyć nas i wydrzeć nam ustępstwa, które pozwoliłyby im przeobrazić Niemcy w jeszcze jedno państwo satelickie. Moskwa jednak zapomina, że my również wiemy dobrze, iż lud rosyjski nie chce wojny i że Rosja nie jest do wojny przygotowana, pomimo jej całego krzykactwa i megalomanii militarystycznej. Zniszczona Rosja jest niewiele lepiej przygotowana do wojny, niż my sami, którzyśmy się doszczętnie rozbroili. Cały więc krzyk, wszczęty przez Kreml, cały jego szantaż, który ma na celu „wykurzenie" nas z Berlina, powinien być uważany za zwykły bluff „made in Moscow". Jasny stąd wniosek, że jeżeli wielkie państwo ucieka się do bluffu tak potwornego rozmiarami, to samo wystawia sobie świadectwo kompleksu niższości.

— A jednak! Jeżeliby Sowiety zdecydowały się pućić w ruch swoje dywizje pancerne, co uczyni Anglia? Co uczyni angielski rząd socjalistyczny?

— Zarzucimy karabiny na ramiona i ruszymy, jak jeden mąż! Co do tego nie może być dwóch zdań. Buldog brytyjski nie atakuje, jednak broni się. Jeżeli Moskwa zacznie pierwsza strzelać, odpowiemy z całą zawziętością, jaka cechuje brytyjskie buldogi. Hitler poczynił na ten temat pewne doświadczenia . . . Ale, co chcę głównie powiedzieć — podkreślił z naciskiem tow. Hynd — to to, że Anglicy i Amerykanie za żadną cenę nie wycofają się z Berlina. Pomijając dwumilionową ludność berlińską — której przyrzekliśmy obronę i którą obronimy bez względu na wszystko — uważamy obecną rozgrywkę z Moskwą za przekraczającą daleko swym znaczeniem walkę o Berlin. W moim przekonaniu walka toczy się o ocalenie demokracji europejskiej i wolności europejskiej: jeżeli tę walkę przegramy, jeżeli pozwolimy Rosji wygrać bitwę o Berlin — cała Europa zachodnia zostanie stracona dla wolności i demokracji. A do tego — jak to nietrudno zgadnąć — dopuścić nie możemy. Tak myśli każdy robotnik brytyjski. Tak myśli każdy minister rządu brytyjskiego.

— A więc jesteście, towarzyszu, gotów „umierać za Berlin"?

— Ani mi się śni! Mam lat 48 i myślę, że będę żył przez jeszcze drugie tyle. Lecz chcę żyć jako człowiek wolny. Otóż żaden Anglik nie cofnie się przed żadnym ryzykiem w obronie swej wolności. Żałować jedynie należy, że obrona wolności i demokracji związana została ze sprawą Berlina. Jest to jednak tylko przypadek — wybryk losu i polityki.

— Sowiety manewrują w kierunku uzyskania udziału w kontroli Ruhry, z której chciałyby uczynić, jak to pisał niedawno „Daily Herald", „bazę operacyjną komunizmu w samym sercu Europy zachodniej", nad Renem. Czy jesteście zdania, że należy wpuścić Sowiety do Ruhry?

— Definitely not, stanowczo nie — odpowiada tow. Hynd. Nie należy ich wpuszczać na Zachód, tym bardziej, że same zabarykadowały się w swej strefie wschodniej, którą hermetycznie odseparowały od reszty Niemiec i właściwie faktycznie zaanektowały. Niechaj Sowiety staną jedną tylko stopą w Ruhrze, a odrazu zamienią ją nie tylko w bastion komunizmu, ale i w arsenał wojenny Armii Sowieckiej.

— A przecież, jeżeli się nie mylę, jesteście zwolennikiem opuszczenia Niemiec przez wszystkie cztery państwa okupacyjne. Czy istotnie sądzicie, że należy ewakuować całe Niemcy?

— Definitely yes, stanowczo tak — oświadcza znowu kategorycznie tow. Hynd. To, co się obecnie dzieje w Niemczech, jest jednym wielkim koszmarem. Należy z nim skończyć. I im wcześniej to uczynimy, tym lepiej. Jednakowoż ewakuacja winna być uzależniona od dwóch warunków zasadniczych: po pierwsze, że wszystkie cztery państwa okupacyjne wycofają się z Niemiec równocześnie; po drugie, że zarządzone będą wszelkie środki ostrożności przeciwko odrodzeniu się hitleryzmu oraz militaryzmu pruskiego. W dwóch tych punktach bezpieczeństwo musi być absolutne!

— Czy polityka ewakuacji całych Niemiec, którą zalecacie, zgodna jest z linią polityczną rządu brytyjskiego?

— Proszę zaznaczyć, że przemawiam wyłącznie we własnym imieniu. Tym niemniej przekonany jestem, że większość Brytyjczyków wyznaje poglądy analogiczne i że po obydwu stronach naszej bariery wewnętrzno-narodowej istnieje mniej lub więcej jednolity pogląd na zagadnienie niemieckie.

— Czy pozwolicie, towarzyszu pośle, że zapytam jeszcze o wasze zdanie w sprawie zatargu Stalin—Tito? Czy nie sądzicie, że oznacza on rozkład bloku satelickiego?

— Los Tity obchodzi mnie bardzo niewiele. Jest to spór wewnątrz komunistycznej rodziny. Otóż nie jestem komunistą, lecz socjalistą i jako taki nie zamierzam się wtrącać do sporów wewnętrznych innych krajów, co jest właśnie specjalnością tych panów ze Wschodu. Ponieważ jednak żądacie opinii mojej, więc powiem tylko tyle, że kłótnia Tity ze Stalinem oznaczać może istotnie rozłam w obozie wschodnio-totalitarnym i jego podważenie. Tito odmówił posłuszeństwa führerowi na Kremlu i jest najzupełniej możliwe, że mikroby titoizmu mnożą się również w innych krajach, położonych za „żelazną kurtyną". Różnica polega na tym, że w tych innych krajach dyktatorzy są mniej niezależni niż Tito, mniej pewni siebie, mniej odważni od niego.

Sprawa przedstawia się tak, że Tito nie zaciągnął żadnego długu wdzięczności wobec Stalina i niczego mu nie zawdzięcza. Tito nie przybył do Białogrodu w wagonie zaplombowanym w Moskwie. Gdy on walczył mężnie przeciwko Niemcom, inni dzisiejsi dyktatorzy wschodniej Europy siedzieli bezpiecznie na ławach szkoły komunistycznej w Moskwie. Gdy Tito ryzykował życie na froncie, ci inni „bohaterowie" zaryli się głęboko w schronach, tak, aby Boże broń — nie uszkodziła ich jakaś niemiecka bomba. Młodzież jugosłowiańska, armia jugosłowiańska zawdzięczają Ticie wiele; nie mają absolutnie nic do zawdzięczenia Stalinowi. Dlatego też sądzę, że nie uda się Stalinowi narzucić swej woli dzielnym rzeszom chłopstwa jugosłowiańskiego.

Walka Tity ze Stalinem jest godna uwagi, chociaż nie wydaje mi się, by można było spodziewać się po niej natychmiastowych reperkusyj międzynarodowych. Zresztą niewiadomo... Poczekajmy na dalszy rozwój wydarzeń!

* * *

Na tym rozmowa dobiegła końca. Tow. Harry Hynd jest gorącym przyjacielem demokracji polskiej. Był on kilkakrotnie w Polsce powojennej, przyglądał się jej nowym władcom i ich robocie i nie ukrywa swej o nich opinii. Ale wobec aktualności sprawy berlińskiej i zatargu Tito—Stalin rozmowa toczyła się głównie wokół tych dwóch problemów dnia. Do sprawy polskiej powrócimy w rozmowie z tow. Hyndem przy innej sposobności.

Tow. Hynda cechuje żywa spostrzegawczość, wybitna inteligencja polityczna i wielka otwartość. To też nie wątpimy, że wynurzenia jego zainteresują czytelników „Robotnika", w których imieniu pozwoliliśmy sobie wyrazić znakomitemu parlamentarzyście labourzystowskiemu serdeczną wdzięczność za zapoznanie nas z jego ciekawą i pouczającą oceną obecnej sytuacji międzynarodowej.

A.

WARSZAWA 1939

. . . Warszawa oswoiła się już z nalotami. Niecierpliwiła ją ostrożność alarmów lotniczych. Chciała przeżywać w pełni i przeżywała wojnę nie tracąc ani jednego widoku spadających nieprzyjacielskich samolotów. Ulice były pełne. Z pogardą lud warszawski patrzał na uciekające, słabsze nerwowo lub tchórzliwsze jednostki. Nie rozumiał paniki, szerzącej się u góry hierarchii społecznej.

Warszawa jednak miała poznać, jaką jest naprawdę panika powszechna. Sfery rządzące, ogarnięte strachem wobec zbliżających się do stolicy patroli niemieckich, wykazują tym jedynym razem swe uczucia demokratyczne. Nie chcą uciekać same. Potrzebna im jest ucieczka masowa, by w jej tumulcie utopić swój wstyd. I oto w nocy z 6 na 7 września stolica staje się widownią jakiegoś potwornego masowego obłędu.

Do tego czasu komunikaty oficjalne pełne były optymizmu. Teraz nagle około północy radio rozbrzmiewa alarmem:

— Obywatele! Śpieszcie do budowy barykad i zapór! Stawcie się natychmiast w wyznaczonych punktach!

Pozrywali się z łóżek co energiczniejsi, pobiegli wypełnić obowiązek chętni, chociaż zdziwieni, że tak nagle pada wezwanie. Kobiety, mężczyźni, młodzież w różnych punktach Warszawy buduje setki zapór chaotycznych i mało w rezultacie celowych, ale świadczących o patriotycznym zapale, panującym w stolicy.

Tymczasem w trakcie tej pracy rozlega się nowy alarm. Pułkownik sztabu głównego, Umiastowski, prowadzący oficjalną propagandę rządową w radio, woła pełnym rozpaczy głosem:

— Bezzwłocznie musimy opuścić Warszawę! Młodzież i mężczyźni zdolni do noszenia broni muszą tejże nocy wyruszyć w drogę!

Jak może zrozumieć takie wezwanie przeciętny obywatel? Tylko tak, że za chwilę nieprzyjaciel zajmie miasto, może już pozostały tylko godziny. Mosty przez Wisłę zostały podminowane, każdy mógł widzieć, jak zakładano ładunki dynamitu i sznury do zapałów. Za chwilę nie będzie już gdzie uciekać.

Resztkę wątpliwości rozprasza trzeci już tej nocy apel radiowy. Sam gen. Składkowski postanowił przemówić do społeczeństwa. Czyżby chciał zagrzać je do wytrwałości? Wzbudzić wiarę w obronę stolicy? Gdzież tam. Zakomunikował tylko:

— Rząd opuszcza Warszawę. Do widzenia po zwycięskiej wojnie.

Teraz nie starczyło już siły, aby oprzeć się opanowującej tłumy psychozie. Każdy chwytał co miał pod ręką i ruszał ku mostom. W ciemną noc główne arterie miasta zostały poprostu zalane tłumem pędzonych paniką. Potrącając się tobołami, skleconymi na prędce, zadyszani, przeciskali się przez most. Byle prędzej na prawy brzeg.

Limuzyn już nie było widać. Kto miał pieniądze na samochód, szybko wyprzedzał pieszych. A posiadacze aut dawno już byli w drodze.

Ranek 7-go września ukazał słońcu mrowie ludzkie pchające się ku wszystkim wylotom Warszawy. Wylało się już na szosę.

Tymczasem nad Warszawą, jakby potwierdzając słuszność przezornej ucieczki, zawarczały nieprzyjacielskie bombowce. W różnych ośrodkach gęsto wybuchają pożary. Zapaliła się Praga. Płonie szpital Przemienienia Pańskiego u wylotu mostu Kierbedzia.

Szosa lubelska od tej chwili otrzymała nazwę drogi śmierci. Na nią wylała się główna fala uciekinierów. Parli w kierunku na Wawer, a potem na Lublin lub Siedlce.

Kto wie, co znaczy marsz w skwarze słońca, ten rozumiał całą tragedię masy ludzkiej obarczonej tobołami, dziećmi, w zwykłym obuwiu i ubraniu niedostosowanym do marszu, wyruszającej w nieznaną drogę. Ojcowie z walizami, matki z dziećmi na ręku już u granic miasta wyczerpywali swe siły, zostawiali walizki, rzucali do rowów pakunki i gnani obłędem ucieczki szli dalej. Jakieś litościwe kobiety wyniosły na drogę wiadra z wodą. Za kilka godzin wzdłuż całego szlaku zabraknie wody w studniach.

Jakież zbrodnicze głupstwo zrodziło ten nieszczęsny alarm, który pchnął dziesiątki tysięcy ludzi na straszliwą poniewierkę? Zatarasowany został przytym swobodny ruch wojska. A co najgorsza, zmieszano ogarniętych psychozą uciekinierów z żołnierzami. Zaszczepiano zarazę strachu tam, gdzie jeszcze jej nie było. A potem przyszły samoloty nieprzyjacielskie i siekły na białych wstęgach szos jakby na żer im wystawione tłumy.

Kogóż nie było tu widać? Biedacy na własnych plecach dźwigają swój naprędce zabrany dobytek, zamożniejsi i przemyślniejsi pchają przed sobą obładowane wózki i rowery, panie w futrach śpieszą w słońcu prażącym jak latem. Jakaś platforma, obładowana jak góra ludźmi i pakunkami, ledwie posuwa się ciągniona przez dychawiczną szkapę i popychana przez woźnicę. Ryczy taksówka zdenerwowanego jegomościa, leżącego jak tobół na kupie worków bagażu. Nowiutka platforma „Społem" tylko co — jak widać — zarekwirowana „na potrzeby armii" umyka z policjantami i meblami któregoś komisariatu policji państwowej. Tam znów karawan, autentyczny karawan drugiej klasy, z końskimi ogonami na szpicach i firankami po bokach, a na drugim grupa kobiet w kolorowych letnich strojach. Nie sposób się jednak nawet uśmiechnąć, gdy przed oczyma roztwiera się cała gehenna „drogi śmierci".

Z rzadka tylko pojedyńcze osoby szły przeciw fali, ku miastu. Gdy przekraczały most od strony Pragi, mogło im zdawać się, że przekraczają granicę swojego życia. Istotnie szły do Warszawy, która mimo wszystko pozostała stolicą i musiała spełnić obowiązek honoru, zapisując krwią swych dzieci nową stronicę historii. Porzucona przez rząd, nie przestała być stolicą Polski. Pozbawiona policji, nie uległa anarchii. Uwolniona od „Ozonu", odzyskała swą zwartość wewnętrzną i zaczynała żyć samodzielnie. Surogatem władzy staje się Zarząd Miejski. Zamiast policji wyłania się straż obywatelska. Życie zbiorowe jednoczy się samorzutnie w głębokim poczuciu chwili dziejowej wokół naturalnych ośrodków społecznych i politycznych. Po nocy rozświetlonej łunami pożarów, panika stopniowo opada. Warkot bombowców, głuche uderzenia bomb lotniczych, suche strzały zenitówek i terkot CKM-ów stały się już czymś prawie codziennym. Czuć jednak jeszcze niepokój i niepewność: czy Warszawa będzie broniona?

8-go Stefan Starzyński otrzymuje nominację na stanowisko Komisarza Cywilnego przy armii okręgu warszawskiego. Jest to znak, że w sferach oficjalnych zapadły decyzje. Około południa ukazuje się „R o b o t n i k" i przynosi ludowi Warszawy to, czego oczekiwał w tych dniach zamętu i powszechnej dezorganizacji. Czytelnik znajduje męską stanowczość wytrwania do ostatka, nadzieję zwycięstwa, zapowiedź zdecydowanej obrony stolicy. Po kilku godzinach ukazuje się również „D z i e n n i k L u d o w y i P o w s z e c h n y" — połączone organy zjednoczonej demokracji. Przynosi ten sam ton odwagi, decyzji i wezwania do złożenia każdej ofiary, niezbędnej dziś dla sprawy niepodległości.

Ukazanie się tych dwu pism, przy powszechnym milczeniu i ewakuowaniu prasy, sprawia w mieście ogromne wrażenie. PPS jest na wszystkich ustach, obejmuje ster dusz w Warszawie, tym bardziej, że na szalę wahających się jeszcze nastrojów rzuca nie tylko apel do czynu, lecz wskazuje jedyną właściwą drogę. Ukazuje się komunikat Robotniczego Komitetu Pomocy Społecznej, zawiadamiający o powstaniu sekcji wojskowej i proklamujący werbunek do ochotniczej formacji robotniczej, która w porozumieniu z dowództwem grupy Warszawa staje do obrony swego miasta.

A więc obrona zdecydowana. Stolica nie padnie haniebnie bez strzału. Wróg wyszczerbi o jej mury zęby. Nie przejdzie.

Komunikat o tworzeniu kompanij robotniczych powtarza radio i niesie go na całą Polskę. Słyszą go robotnicy i pracownicy umysłowi, porwani wczoraj przez alarm rządowy. Rozumieją, że oszukano ich, że w Warszawie tworzy się ośrodek oporu i walki. Nie odeszli jeszcze daleko, natychmiast masowo zawracają na swe posterunki.

Wieść o tworzeniu kompanij ochotniczych elektryzuje masy pracujące Warszawy i młodzież. Błyskawicznie dociera do najdalszych przedmieść i zakątków. Już nikt nie wątpi w sprawę obrony. Fatalna przegroda wzniesiona między wojskiem i cywilem zburzona. Każdy może oddać swe siły obronie stolicy.

Teraz wieści o potwornych przejawach rozwijającej się wojny wywołują tylko gniew i pragnienie pomsty. Zjawiają się w mieście coraz liczniejsi uciekinierzy z zachodnich połaci kraju. Każdy już wie o sieczeniu uciekinierów na drogach przez samoloty, każdy wie o ostrzeliwaniu pociągów z ludnością cywilną, każdy również słyszał już o przejawach demoralizacji w poszczególnych oddziałach wojskowych, o panicznej ucieczce, o niegodnym nieraz zachowaniu się różnych wyższych szarż. Uciekinierzy z Łodzi przynoszą z sobą gorycz ludzi, którym nie dano bronić swego miasta i żywy przykład gehenny drogi odwrotu. Plastycznie, żywo widzi każdy Warszawianin, co mógł przynieść sobą popłoch 6—7 września. Jest dumny, że los Warszawy będzie inny, że jej przypadnie rola zatrzymania wroga. Potem musi się zmienić na lepsze, byle tylko zatrzymać nieprzyjaciela, pozwolić armii otrząsnąć się z pierwszej klęski poniesionej w spotkaniu ze stalową maszyną niemieckiej armii.

Ze zgrozą słuchają masy opowiadań o natarciu niemieckim.

— Z góry uderza chmura samolotów, praży nasze oddziały bombami i ogniem karabinów maszynowych, pod jej osłoną posuwa się stalowy wał czołgów, plujący w twarz ogniem działek szybkostrzelnych i CKM-ów, miażdżący swym ciężarem nasze oddziały. Dopiero za nimi piechota niemiecka dobija pozostałych.

Ten straszny — może przesadzony — obraz przyniesiony z pola przez żołnierzy nie łamie ducha. Powtarza się go ze zgrozą, ale w oczach błyszczy twarda jak diament decyzja powstrzymania za wszelką cenę tego wału u progu stolicy.

— Niech wejdą w nasze ulice! Zasypiemy je butelkami z benzyną! Wyniszczymy żelazne plugastwo! W zaułkach ulic samoloty nie wystrzelają wszystkich, nie przejdą przez Warszawę. Byle ich raz powstrzymać, odwróci się karta na naszą korzyść.

Uciekinierów w mieście coraz więcej. Wypełniają sobą bezmała całkowicie tę szczerbę, którą w zaludnieniu Warszawy wywołała panika ucieczki. Trzeba się nimi zająć. Komitet Samopomocy Społecznej powołany przed wojną z p. Tyszką na czele, podobnie jak wszystkie inne organy znikł z pola. Organizacja nowego Komitetu postępuje szybko naprzód, rozwijając agendy opieki nad uchodźcami.

Nowe życie stolicy zostało ostatecznie ukonstytuowane. Pozostaje tylko luka w postaci oficjalnego akcentu ze strony wojska. Wypełnia ją rozkaz Nr. 1, podpisany przez gen. Czumę. Rozkaz mówi o postanowieniu obrony, powołuje się przy tym na Rydza Śmigłego. Ten punkt wywołuje uśmiechy na ustach wtajemniczonych, uśmiechy mówiące o naciąganiu faktów i wbrew rzeczywistości reklamowaniu Naczelnego Wodza. Ale na to nikt nie zważa. Najważniejszym jest fakt, że Warszawa będzie broniona przez armię i że obok regularnych oddziałów staną do obrony również k o m p a n i e l u d u w a r s z a w s k i e g o.

Zygmunt Zaremba

RAPORT

Żołnierz polski, obrońca Warszawy,
W grobie wspólnym się zbudził ze snu:
„Dziś rocznica!" — Więc otarł pył krwawy
I zaczerpnął w pierś przebitą tchu.

Potem braciom, poległym w Stolicy,
Żołnierz polski taki raport zdał:
„Polska żyje! — na każdej ulicy,
W każdym domu bój o Polskę trwa!

Przysięgaliśmy bronić Warszawy
Do ostatniej kropli krwi, po zgon.
Dziś rocznica! Z ofiar naszych krwawych
Każda kropla da stokrotny plon!"

Tomasz

(Z „Antologii Poezji Współczesnej", wydanej w Podziemnej Warszawie)

WARSZAWA 1944

— Ani myślę nadstawiać swego karku dlatego, że paru jakichś generałów chce przejść do historii w laurach Kościuszki czy Kilińskiego albo Traugutta. Ja mam żonę i dzieci. Ja muszę żyć! — zawołał jeden z moich sąsiadów, właściciel sklepiku spożywczego przy Grzybowskiej, gdy w drugim dniu Powstania Warszawskiego, w czasie formowania nowych ochotniczych plutonów, zapytałem go mimochodem:

— No, a ty, Stachu?

Pozostał w domu i pilnował uciułanych zapasów, bo rodziny nie upilnował. Starszy, czternastoletni syn uciekł aż na Starówkę i tam wstąpił do Milicji PPS. Żona poszła gotować zupę dla żołnierzy i przybiegała do domu tylko po prowianty, gdy chłopcom dopisywał apetyt. Z całej rodziny zginął tylko ojciec, już 7 sierpnia, we własnym domu, rozwalonym do fundamentów bombą lotniczą. Wiem, że jego synek tak samo gorąco pragnął żyć, szczególnie wtedy, gdy po śmierci ojca poczuł się jedynym opiekunem matki i młodszego brata. Ale po upadku Starego Miasta walczył dalej w batalionie robotniczym na Grzybowskiej — aż do końca.

Przypomniał mi się ten dzielny chłopak przed niedawnym czasem w Londynie, gdy przed niewiastą, która w śródmieściu Warszawy przeżyła całe piekło sierpnia i września 1944 roku, usiłowałem uzasadniać decyzję Powstania, jako — w moim głębokim przekonaniu — jedyną wówczas decyzję możliwą. Owa niewiasta w odpowiedzi na wszystkie moje mniej lub więcej logiczne argumenty zapytała:

— A czy pan był w Warszawie po Powstaniu? Czy pan widział na cmentarzach długie szeregi grobów trzynasto-, piętnasto-letnich chłopców, żołnierzy Armii Krajowej? Kto miał prawo wziąć ich życie na swoje sumienie?

Nie, nie byłem w Warszawie wtedy, gdy już porządkowano cmentarze. Ale wielu spośród leżących tam chłopców widziałem jeszcze konających, jeszcze nieostygłych, niepogrzebanych. Niejednego sam składałem do prowizorycznych mogił na dziedzińcach i na ulicach. Wszyscy oni do ostatniego tchnienia chcieli żyć, koniecznie żyć i . . . walczyć dalej.

Nie umiałem tego wytłumaczyć matkom, które zawiadamiałem o śmierci synów. Nie umiałem ocierać im łez ani koić ich rozpaczy jakimiś frazesam, że to „dla Sprawy“, że „na polu chwały“, że przecież „dulce et decorum . . .“ („słodko i zaszczytnie . . .“).

Przez cały czas trwania wojny widywaliśmy w gazetach hitlerowskich całe kolumny (racjonowanych według szarż) nekrologów, w których matki-Niemki zawiadamiały z dumą, że szósty czy siódmy, ostatni syn poległ gdzieś w Karelii czy na Kaukazie „za Naród i za Wodza“. To nie było ludzkie, to było poprostu odrażające.

Gdy nam później w szpitalach czy obozach pokazywano tanie amerykańskie filmy, w których uśmiechnięci burmistrze dekorowali „szczęśliwych“ staruszków-rodziców za to, że na jakimś zatopionym pod gwiaździstą banderą okręcie stracili jednego dnia wszystkich pięciu synów — wiedzieliśmy, że to narkotyczny obłęd. O ileż bardziej zrozumiałe i ludzkie byłyby na ustach tych matek i ojców przekleństwa i bluźnierstwa!

Jakże więc tłumaczyć ludziom, którzy w przegranym Powstaniu stracili wszystko, bez ostatecznej pociechy jaką może dać zwycięstwo — że w tragicznie skomplikowanej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się w lecie 1944 roku, decyzja Powstania w Warszawie była tragiczną koniecznością? Cóż pomoże przypominanie, że zanim w najofiarniejszej walce ostatniej wojny padło 70 tysięcy mieszkańców Warszawy — sześć milionów obywateli polskich zostało wymordowanych w więzieniach, obozach koncentracyjnych, na ulicach miast i w spalonych wsiach? Że zanim padł pierwszy po zakończeniu kampanii wrześniowej Niemiec od kuli żołnierza Polski Podziemnej — już na ziemiach polskich stały szubienice, a karabiny maszynowe siekły tysiące niewinnych ofiar? Gdzie przyczyna, a gdzie skutek? I gdzie pra-przyczyna tylu zgliszcz, popiołów, kalectw, mogił?

Dla matek, które straciły synów, dla sióstr, które straciły braci, dla wdów po poległych i wymordowanych mężach, dla fizycznie i psychicznie okaleczonych, dla bezdomnych, samotnie tułających się, zagubionych w niezrozumiałym świecie — jakąż siłę przekonywującą mogą mieć zapytania bez odpowiedzi: Coby było, gdyby Warszawa nie powstała do walki? Kto wówczas ocalałby, a kto zginąłby bez boju? Któż to wie?

Więc gdy ludzie, którzy w Warszawie stracili najbliższych, lub ci, którzy sami nie stracili nikogo, ale w „czasach kamiennych“ potrafią współczuć innym, cierpieć nad losem innych ludzi i boleć nad ruinami wspaniałego miasta, jeśli ci właśnie ludzie dziś jeszcze przeklinają Powstanie Warszawskie — pozwólmy im przeklinać. To jest ludzkie. Na to jedynym lekarzem jest czas. Czas, który leczy rany, koi ból i zmartwychdźwiga Warszawę.

Co innego, gdy na cmentarzyska Warszawy przychodzą — hieny. A zbiegają się one z różnych stron i usiłują na zimno, z cynicznym wyrachowaniem skierować zrozumiały ludzki żal, tragizm ofiary i gorycz przegranej na tory oszczerczej zniewagi samego czynu powstańczego i jego organizatorów.

Oto — inspirowana przez zdrajców Powstania i współwinnych jego klęski — rezolucja konferencji delegatów PPR w Lublinie głosi, że „dowództwo A. K. poszło na szaleńczy i zbrodniczy krok, rzucając hasło powstania w Warszawie“.

Oto publicysta emigracyjny Józef Mackiewicz w liście do Zarządu Syndykatu Dziennikarzy, odpowiadając na zarzut kolaboracji z Niemcami pisze, że działalność A. K. była „w założeniu błędna a w skutkach zbrodnicza“, że „klęskę Polski stokrotnie pogłębiała“ i „okryła hańbą imię narodu polskiego“.

Oto przemawia Osóbka-Morawski: „Tragedia Warszawy — to wynik nieodpowiedzialnej, podstępnej gry, podjętej przez klikę sanacyjną, która z brudnych pobudek żądzy władzy nad narodem dała hasło do przedwczesnej, nieprzygotowanej, beznadziejnej i nieuzgodnionej z sojusznikami walki powstańczej“.

A oto rzecznik „sanacji“, Klaudiusz Hrabyk, wystawiając pochlebne świadectwo żołnierzowi powstańczemu, jednocześnie pisze na łamach frankfurckiej „Kroniki“:

„Czy powstanie warszawskie było pomyłką? Tak jest. Było pomyłką polityczną . . . było konsekwencją najściślej związaną z tezą, że mamy współdziałać z Rosją sowiecką“.

Człowiek nieświadomy gubi się w tych sprzecznościach. I nic już nie rozumie, gdy czyta w warszawskiej reżymowej „Rzeczypospolitej“: „Gen. Bór i jego sztab prowadzili bohaterskich powstańców zamiast na Niemców — do Niemców“. Nie ma już granic zakłamania. Odbywa się koszmarny sabat czarownic na gruzach niezłomnego miasta.

Najłatwiej tedy sięgnąć po laury nadludzkiego bohaterstwa, sobie je przypisać, a jednocześnie uchylić się od politycznej odpowiedzialności za decyzję podjęcia otwartej walki. Czyni to Stronnictwo Narodowe, które wyolbrzymia udział N. O. W. (Narodowej Organizacji Wojskowej) w Powstaniu, a jednocześnie głosi w swoim organie londyńskim, „Myśli Polskiej“, w artykułach Wiktora Trościanki, że kierownicy tego stronnictwa zapytywali „was ist los?“ w chwili, gdy dopiero serie z pistoletów maszynowych powiadomiły ich, „że w Komendzie Głównej A. K. przeważyła koncepcja powstania, że ktoś wziął to na siebie przed Bogiem i historią“.

Nawet jeden z najobiektywniejszych autorów, Andrzej Pomian-Dowmuntt w swej broszurze „Powstanie Warszawskie 1944“ zdaje się skłaniać do cytowanej przez siebie opinii gen. Sosnkowskiego, który dnia 26 lipca 1944 roku pisał: „Co do Kraju — to w sytuacji, stworzonej przez rozwój zdarzeń, przez sowieckie gwałty i fakty dokonane, wszelka myśl o powstaniu zbrojnym jest nieuzasadnionym odruchem, pozbawionym sensu politycznego, mogącym spowodować tragiczne, niepotrzebne ofiary“.

Możnaby te wszystkie głosy zbyć krótko własnymi słowami cytowanego już Wiktora Trościanki, że każdy „gdyby się udało, przyznałby się do ojcostwa; ponieważ nastąpiła klęska, więc . . .“ Lecz to nie wyczerpuje zagadnienia. To nie tłumaczy absurdalnej, zdawać by się mogło, zgodności dyskryminacji politycznej Powstania ze strony endecji, „sanacji“, niemieckich kolaborantów i sowieckich agentur. Skąd ta zgodność? W kłębowisku pytań, na które dopiero przyszłość odpowie, na to jedno pytanie odpowiedź jest już dzisiaj jasna i oczywista.

W Powstaniu Warszawskim wyraziła się z całą mocą wyzwolonego potężnego żywiołu wola Ludu. Stwierdza to historyczna odezwa CKW PPS z dnia 15 czerwca 1945 roku:

„Po latach męki niewysłowionej, ucisku i tyranii hitlerowskiej, po latach, których każdą chwilę znaczyły łapanki, tortury więzień i obozów, po latach, których symbolem stały się pamiętne egzekucje uliczne . . . w dniu 1 sierpnia zeszłego roku porwał się do zbrojnej i otwartej walki ze znienawidzonym brunatnym najeźdźcą — bohaterski i niezłomny Lud Warszawy . . . Od pamiętnych dni Insurekcji Kościuszkowskiej i czynu Kilińskiego, poprzez Noc Listopadową a potym Powstanie Styczniowe i Rewolucję 1905 roku, poprzez bohaterską obronę miasta we wrześniu 1939 roku i długie pięć lat nieprzerwanej krwawej walki, aż do ostatniej godziny sierpniowego powstania — Lud Warszawy zawsze był przodownikiem w walce Narodu o Wolność“.

Kto nienawidzi wolności — musi nienawidzieć Powstania Warszawskiego. Musi wykazywać jego rzekomy bezsens.

Z ducha carskiej ochrany i kadeckich rot, z ducha sowieckiej tyranii na Wschodzie, z ducha junkierskiego, pruskiego, z ducha brunatnych koszul na Zachodzie, z ducha polskich głosicieli „silnej ręki“ i trzymania rzesz robotniczych i chłopskich „za mordę“ — podobna płynie nienawiść do wolności; lub inaczej: do ideału takiego świata, któryby dał równe prawo do wolności wszystkim.

A w powstańczej Warszawie wolność zakwitła w całej swej chwale i wspaniałości. Ukazała się Ludowi Warszawy we krwi i ogniu, i chociaż po 63 dniach obalona — przecież wola potężnym głosem i kajdanom urąga i grozi tyranom realną wizją najpiękniejszego ideału.

Dlatego komuniści w Polsce czynią wszystko, aby dorobek ideowy i polityczny Powstania Warszawskiego splugawić. Dlatego endek Trościanko wyznaje: „Gdy o tych dniach myślę — mam tę gorycz, jaką musi mieć każdy, kto uległ szantażowi. Wściekłość, gorycz, wstyd i przekonanie, że to i tak — na nic“.

I dlatego, wbrew wszelkim zniewagom i oszczerstwom, dyktowanym strachem przed wolnością, Powstanie Warszawskie, w którym do walki stanął Lud Warszawy pod bojowymi sztandarami PPS — jak pisze w swej książce tow. Zygmunt Zaremba — „miast blednąć, lśni coraz wspanialszym blaskiem przed oczami Polaków i całego świata“. **Wacław Zagórski**

WARSZAWA

(„L'Avvenire dei Lavoratori“, sierpień 1944).

1939

Nie wierzymy już więcej tym słowom,
Które kiedyś tak drogie nam były,
Rozpacz ludzka wyżarła nam serce
I bagnety krew naszą wypiły.

Nie wierzymy już klęskom i szczęściom,
Przeżywanym wygodnie i skrycie.
Nasze życie należy do braci,
Których można ukochać nad życie.

Nie wierzymy już bogom dalekim,
Których cień nam przesłania kształt rzeczy.
Naszą wiarą jest krzyż na tej ziemi,
Gdzie umiera dziś znów Syn Człowieczy.

1944

I znowu przyjdą ludzie bez serca,
By w twoje serce sączyć kłamliwość,
By cię przeliczać, by cię pouczać,
Co to jest wolność, co — sprawiedliwość.

Lecz ty pamiętaj, o mój narodzie,
Że wolność to jest sekret tajemny,
Który czasami znajdują święci
W ciszach pustynnych, w mrokach
podziemnych.

A sprawiedliwość to szept poety,
To zemsta łaski nad grozą czynów,
To słowa moje, które ci chleba
Nie dadzą . . . nawet za krew twych synów.

Napisał **Franco Fortini**
Przełożył z włoskiego **Stanisław Baliński**

„OD KOLEBKI DO GROBU"

UBEZPIECZENIE SPOŁECZNE

W WIELKIEJ BRYTANII

Reforma ubezpieczeń społecznych w Wielkiej Brytanii, dokonana ustawą o ubezpieczeniu narodowym (National Insurance Act) z roku 1946 a wprowadzona w życie w dniu 5 lipca r. b., została zakrojona na skalę tak wielką, jakiej nie zna ustawodawstwo społeczne żadnego innego kraju. Doniosłość tej reformy, wprowadzonej równocześnie z ubezpieczeniem od wypadków w zatrudnieniu oraz powszechną służbą zdrowia (National Health Service) polega przede wszystkim na tym, że ubezpieczeniu podlega przymusowo cała ludność Wielkiej Brytanii, obywatele brytyjscy i cudzoziemcy w wieku od lat 15 do 60 (względnie 65) obojga płci, bez względu na zawód i źródło dochodów lub zarobków. Natomiast według praw innych krajów, ubezpieczenie społeczne obejmuje jedynie pracowników t. j. osoby pozostające w stosunku umowy o pracę, a w niektórych tylko krajach rozciąga się ono na nieliczne grupy osób nie będących pracownikami, jak na chałupników, uczniów przemysłowych i t. p.

TRZY KATEGORIE UBEZPIECZONYCH

W nowym systemie istnieją trzy kategorie ubezpieczonych. Do I-ej należą pracownicy prywatni, urzędnicy państwowi i samorządowi, wojskowi i t. p. oraz płatni uczniowie przemysłowi; do II-ej — osoby zarobkujące samodzielnie (self-employed persons), a więc lekarze, adwokaci, przedsiębiorcy, agenci, właściciele sklepów, dyrektorzy i kierownicy zakładów przemysłowych i t. d.; do III-ej kategorii — osoby niezatrudnione (non-employed persons) t. j. nie należące do żadnej z uprzednio wskazanych kategoryj.

W kategorii I-ej składki płaci pracownik i pracodawca, w II-ej i III-ej — tylko ubezpieczony. Zakres świadczeń jest najszerszy dla osób należących do I-ej kategorii, gdyż przysługuje im prawo do wszystkich świadczeń, przewidzianych przez ustawę (oczywiście pod pewnymi warunkami), a więc do:

a) zasiłku chorobowego,
b) zasiłku w razie bezrobocia,
c) zasiłku macierzyństwa,
d) zaopatrzenia wdowiego,
e) zaopatrzenia opiekuńczego,
f) zaopatrzenia starczego (emerytalnego),
g) zapomogi pośmiertnej.

Należącym do II-ej kategorii przysługują wszystkie świadczenia prócz zasiłku na wypadek bezrobocia, a należącym do III-ej kategorii nie należą się zasiłki: chorobowy i na wypadek bezrobocia oraz niektóre świadczenia z tytułu macierzyństwa.

KAT. I: PRACOWNICY I UCZNIOWIE

Składki

W brytyjskim systemie ubezpieczeń składki nie pozostają w stosunku do wysokości wynagrodzenia pobieranego przez pracownika (odmiennie niż w systemach kontynentalnych, w których składka stanowi pewien odsetek wynagrodzenia); natomiast wysokość składki jest różna dla mężczyzn i dla kobiet, ponadto wysokość składki zależy od wieku ubezpieczonego. Stawki tygodniowe składek od pracobiorców są następujące:

mężczyzna w wieku ponad 18 lat płaci 4 s. 7 d., a poniżej tego wieku — 2 s. 8 d.

kobieta w wieku ponad 18 lat płaci 3 s. 7 d., a poniżej tego wieku — 2 s. 2 d.

Składka pracodawcy wynosi:

za mężczyznę w wieku ponad 18 lat — 3 s. 10 d., a poniżej tego wieku — 2 s. 3 d.

za kobietę w wieku powyżej 18 lat — 3 s., a poniżej tego wieku — 1 s. 9 d.

Zaznaczyć należy, że niezależnie od tych składek płatne są składki za ubezpieczenie od wypadków w zatrudnieniu, w którym pracownik i pracodawca płacą tygodniowo za mężczyznę w wieku ponad 18 lat — 4 d., a za kobietę — 3 d., zaś w wieku poniżej 18 lat za mężczyznę — 2½ d., a za kobietę — 2 d.

Za poszczególny tydzień należy się jedna tylko składka, nawet jeśli ubezpieczony był zatrudniony w danym tygodniu u dwóch pracodawców. Całkowita składka należy się nawet wówczas, jeśli w danym tygodniu pracownik był zatrudniony chociażby tylko przez jeden dzień.

Składka pracownika może być potrącona tylko z bieżącej wypłaty, a nie za okresy wsteczne, nawet gdyby ubezpieczony wyraził zgodę na potrącenie wsteczne. Składki nie należą się za okresy, w których ubezpieczony pobiera zasiłek lub zaopatrzenie z powodu niezdolności do pracy skutkiem choroby albo wypadku lub otrzymuje zasiłek bezrobocia. Jednakże za okresy te składki będą ubezpieczonemu zaliczone (credited) i przy przyznaniu świadczeń traktowane w ten sposób, jak gdyby zostały rzeczywiście wpłacone.

(Kwestia składek za kobiety zamężne będzie omówiona później).

Świadczenia: Zasiłki chorobowe

Zaznaczyć przede wszystkim wypada, że w nowym systemie ubezpieczeń nie mieści się pomoc lecznicza dla ubezpieczonych, gdyż od dnia 5 lipca br. każdemu mieszkańcowi Wielkiej Brytanii służy prawo do pomocy leczniczej w ramach powszechnej służby zdrowia. W tym stanie rzeczy ubezpieczonym przyznawane są tylko świadczenia gotówkowe.

Zasiłek chorobowy (Sickness Benefit) należy się ubezpieczonemu za te dni powszednie, w których zmuszony był zaniechać pracy z powodu niezdolności spowodowanej chorobą. Warunkiem uzyskania prawa do zasiłku jest opłacenie conajmniej 26 składek w okresie pomiędzy chwilą przystąpienia do ubezpieczenia a datą zgłoszenia roszczenia o zasiłek. Ponadto w ostatnim roku składkowym trzeba mieć wpłaconych lub zakredytowanych conajmniej 50 składek bądź w kategorii I, bądź w kategorii II (samodzielnie zarobkujący). Należy nadmienić, że składki wpłacone przed 5 lipca br. zalicza się do składek uprawniających do uzyskania zasiłku w nowym systemie.

Normalna stawka zasiłku dla ubezpieczonego w wieku ponad lat 18 wynosi 26 s., a w wieku poniżej 18 lat — 15 s. tygodniowo, lecz w przypadkach, gdy małoletni ma na swym utrzymaniu krewnych lub dziecko służy mu prawo do stawki dorosłego, a to niezależnie od dodatków na osoby przez niego utrzymywane.

Dodatek na żonę zamieszkałą z ubezpieczonym i całkowicie lub głównie przez niego utrzymywaną wynosi 16 s. tygodniowo, lecz tylko wówczas jeśli zarabia ona nie więcej niż 20 s. tygodniowo. Ubezpieczonemu służy dodatek w takiej samej wysokości na jednego z krewnych lub powinowatych, zamieszkałych z nim i całkowicie lub przeważnie przez niego utrzymywanych lub na kobietę opiekującą się dziećmi w jego rodzinie. Dodatek na najstarsze dziecko w wieku szkolnym wynosi 7 s. 6 d. tygodniowo. Na pozostałe dzieci płatne są dodatki w ramach dodatków rodzinnych (Family Allowances).

Zasiłek należy się dopiero za czwarty i następne dni choroby, chyba że trwała ona conajmniej 12 dni w ciągu 13 tygodni, liczonych od pierwszego dnia niezdolności do pracy. Jeżeli ubezpieczony stanie się powtórnie niezdolny do pracy przed upływem 13 tygodni od końca pierwszej choroby, zasiłek jest płatny nadal. Zasiłek płatny jest najwyżej za 312 dni (t. j. za rok, wyłączając niedziele), jeżeli ubezpieczony ma zapłaconych lub zakredytowanych mniej niż 156 składek tygodniowych; jeśli natomiast ma więcej składek to zasiłek płatny jest dopóki ubezpieczony jest niezdolny do pracy. W tym więc przypadku zasiłek chorobowy ma charakter renty inwalidzkiej, gdyż systemowi brytyjskiemu nie jest znane odrębne ubezpieczenie inwalidzkie.

Jeżeli ubezpieczony wyczerpał swój okres zasiłkowy (312 dni), nabywa on — po zapłaceniu 13 składek tygodniowych — prawo do nowych zasiłków w ciągu 312 dni itd.

W nowym systemie szczególne stanowisko zajmują kobiety zamężne.

Jeżeli kobieta zamężna jest zatrudniona (kategoria I), służy jej prawo (a) bądź do pozostania w ubezpieczeniu, a wówczas płaci ona zwykłą składkę i ma prawo do wszystkich świadczeń, wyliczonych uprzednio, (b) bądź do zaniechania ubezpieczenia, w którym to przypadku płaci jedynie składkę za ubezpieczenie od wypadków w zatrudnieniu (3 d. tygodniowo), nie służy jej jednak prawo do zasiłku chorobowego, bezrobocia i niektórych innych świadczeń; natomiast korzysta ona z pewnych świadczeń z tytułu ubezpieczenia męża. (Zakres tych uprawnień będzie omówiony później).

B.

KU JEDNOŚCI

W dniach 31 lipca i 1 sierpnia br. odbył się w Londynie VII-y doroczny zjazd delegatów Związku Rzemieślników i Robotników Polskich w Wielkiej Brytanii. Zjazd ten nie znalazł dotychczas należytej oceny w polskiej prasie emigracyjnej; szkoda, bo przecież istnienie i rozwój polskiej organizacji, mającej na celu obronę bezpośrednich interesów robotników i rzemieślników polskich na obczyźnie, jest nieodzowną koniecznością. To też przebieg zjazdu i jego uchwały należy rozpatrzeć przede wszystkim pod tym kątem widzenia: czy zjazd przybliżył nas do zbudowania silnej, masowej organizacji, zrzeszającej ogół robotników polskich w Wielkiej Brytanii na tle ich potrzeb gospodarczo-społecznych? Innymi słowy: czy posunęliśmy się naprzód ku jedności rzesz robotniczych polskich na emigracji?

Przy głębokim kryzysie zaufania, jaki wśród robotników polskich, w hostelach przejawia się w stosunku do wszelkich polskich stowarzyszeń, tym większa odpowiedzialność spada na barki ruchu socjalistycznego. Trzeba pokonać trudności, trzeba przełamać wszędzie apatię i nieufność do własnych polskich organizacyj, szczególnie na odcinku zawodowym, który wymaga jedności działania. Wzbudzenie zaufania do polskiej organizacji, zainteresowanie ogółu hostelowego sprawami polskimi, bezpośrednio dotyczącymi bytu rzesz robotniczych — wymaga nowych, śmiałych metod działania oraz radykalnych decyzyj; zespolenie sił w jednej organizacji o charakterze ekonomicznym narzuca się tu w pierwszym rzędzie.

Pragnienie osiągnięcia jedności polskiego ruchu zawodowego, która — jeśli zostanie urzeczywistniona — dać musi w wyniku ożywienie całości ruchu robotniczego, spowodowało, iż szereg towarzyszów z obozu socjalistycznego znalazł się w szeregach Związku Rzemieślników i Robotników Polskich, biorąc żywy udział w jego pracach.

Zjazd związkowy przyniósł doskonałą sposobność, by hasło zjednoczenia wszystkich robotników — Polaków w jednej organizacji zawodowej popchnąć na tory realizacji. Niestety, zjazd nie potrafił jeszcze znaleźć wyjścia, któreby tysiącom Polaków w hostelach udowodniło naocznie, iż nowe kierownictwo Związku w rozszerzonym składzie obejmuje również rzeczników myśli socjalistycznej, zdobywającej sobie przecież coraz to szersze zastępy zwolenników — także w szeregach Związku Rzemieślników i Robotników Polskich.

Uważni obserwatorzy mogli jednak zauważyć głębokie zmiany, jakie zaszły ostatnimi czasy w szeregach związkowych. Wystarczy przytoczyć chociażby, że delegat hutników z okręgu Walii południowej przedstawił wniosek, domagający się współpracy Związku z Polską Partią Socjalistyczną. Innym momentem zasługującym na podkreślenie był wynik głosowania przy wyborze przewodniczącego Zarządu Głównego; tow. Artur Szewczyk uzyskał 18 głosów (na 51 obecnych), a więc jedną trzecią głosów. Wymowna również była życzliwa reakcja delegatów, gdy z ramienia TUR witał zjazd tow. Adam Ciołkosz. Powyższe fakty wskazują, jak wielkie przeobrażenia dokonywują się wśród tej części emigracji, która do tej pory stała zdala od ruchu socjalistycznego.

W ciągu dwudniowych obrad, Zjazd powziął szereg ważnych uchwał, dotyczących prac Związku na przyszłość. Będą one miały niewątpliwie znaczenie pozytywne, ułatwiając i przyśpieszając dalszy rozwój Związku. Socjaliści polscy, należący już do Związku Rzemieślników i Robotników Polskich, w oparciu o rosnące zastępy sympatyków PPS będą brali twórczy udział w dalszej działalności związkowej, realizując w ten sposób hasło jedności, na którego urzeczywistnienie czekają polscy robotnicy i rzemieślnicy w fabrykach i kopalniach. Tym samym pomożemy wcielić w czyn jedną z najważniejszych uchwał Zjazdu: „Walne zgromadzenie ZRRP poleca władzom Związku utrzymać podjętą przez ZRRP w 1946 r. inicjatywę scalenia w ramach ZRRP wszystkich organizacyj polskich na uchodźtwie o charakterze organizacyj zawodowych".

—k

POD KRANEM

FRASZKI

MAKABRA

Przed rokiem pewien znakomity lekarz
o smutnym rzekł mi fakcie:
„Darmo przed śmiercią uciekasz,
za miesiąc trafi szlag cię . . ."
Zakończę pointą rzewną,
chociaż o sensie wyniosłym:
LEKARZ UMARŁ . . .
(Napewno,
sam smutną trumienkę niosłem).

KRAN

PROTEST — I ODPOWIEDŹ

W numerze 602 „Tribune“, znanego angielskiego tygodnika socjalistycznego, ukazał się list Aleksieja Stachanowa, twórcy t. zw. „współzawodnictwa socjalistycznego“ w Związku Sowieckim. Stachanow protestuje przeciwko pomawianiu Sowietów o stosowanie pracy przymusowej i nazywa Dallina i Nikołajewskiego (autorów książki „Forced Labour in Soviet Russia“) „renegatami, zdrajcami i oszczercami“.

„W Związku Sowieckim“ — pisze Stachanow — „uczciwa i wydajna praca cieszy się wielkim szacunkiem. Wiecie zapewne, że przodujący robotnicy w naszym kraju otrzymują tytuły Bohaterów Pracy Socjalistycznej, piszą o nich gazety i układa się o nich pieśni. Zapytuję was uczciwie, czy praca przymusowa, praca wykonywana pod przymusem, mogłaby być tak wydajna? Każdy robotnik sowiecki zainteresowany jest w zwiększeniu wydajności. Produkując więcej, podnosi on nieustannie własny dobrobyt i własną stopę życiową. Nikt go do tego nie zmusza. To on sam pali się do tego, by pracować lepiej i produkować więcej“.

Na list Stachanowa odpowiedziało z kolei listami do „Tribune“ trzech... byłych stachanowców, więźniów podbiegunowych łagrów. Jeden z nich, to tow. Lucjan Blit, drugi — tow. Gustaw Herling-Grudziński, trzeci — tow. Jerzy Gliksman. List tow. Herling-Grudzińskiego, zamieszczony w numerze 604 „Tribune“, podajemy poniżej w całości, w przekładzie na język polski.

ODPOWIEDŹ STACHANOWOWI

Pragnę zwrócić uwagę, że „protest“ p. Aleksieja Stachanowa, opublikowany w Waszym piśmie z dnia 23 lipca, wywołałby oburzenie i osłupienie wśród wielu milionów niewolników pracy przymusowej w Rosji, gdyby mogli oni ten protest przeczytać. Trudno się dziwić, że dla Aleksieja Stachanowa Dallin i Nikołajewski są „zdrajcami“ i „renegatami“. Nie oczekiwałem niczego innego. Ale napisawszy „protest“ do tygodnika socjalistycznego, p. Stachanow miałby może ochotę posłuchać, co ma na ten temat do powiedzenia socjalista, który przez półtora roku był niewolnikiem pracy przymusowej w Rosji?

Czytając list p. Stachanowa, przypomniałem sobie stare powiedzenie komunistów, więzionych w sowieckich obozach pracy przymusowej. Zwykli oni byli mawiać: „Gdyby Stalin wiedział, co się tu dzieje, wpakowałby zamiast nas do kryminału wszystkich tych łotrów z NKWD“. Ciągle ta sama bajeczka: dobry car, który niby to nic nie wie o cierpieniach swego posłusznego narodu, ale pewnego dnia zjawi się jako najwyższy sędzia i uosobienie zmiłowania, aby ukarać grzeszników i pobłogosławić pokornych.

W taki sam sposób p. Stachanow zdaje się nic nie wiedzieć o sowieckich obozach pracy przymusowej i ze swego wysokiego i odpowiedzialnego stanowiska w ministerstwie w Moskwie potępia całą tę historię, jako typowe „stare oszczerstwo“. Aby tę zagadkę wyjaśnić, trzeba pamiętać, że p. Stachanow pracuje prawdopodobnie w ministerstwie przemysłu i dzięki temu ma do czynienia tylko z robotnikami, którzy pracują — w mniejszym lub większym stopniu — z własnej i nieprzymuszonej woli. Ale zaciąg niewolników do pracy przymusowej w Rosji nie należy do ministerstwa przemysłu (ani do ministerstwa pracy, które nie istnieje w Rosji już od pewnego czasu). Zaciąg do pracy przymusowej jest jednym z głównych zadań łowców z NKWD i więzień NKWD. Dyrekcja obozów pracy, pracująca pod kierownictwem i kontrolą NKWD, jest właściwą organizacją rekrutacyjną pracy przymusowej w ZSRR. Plan niewolnictwa, opracowany dokładnie przez NKWD, jest pomocny w wykonywaniu „piatiletek“ w Rosji.

Spędziłem osiemnaście miesięcy (w latach 1940—42) w Kargopolskim obozie pracy przymusowej koło Archangielska, nad Morzem Białym. Obóz ten, podobnie zresztą jak wszystkie inne, nosił nazwę Isprawitelnyj Trudowoj Łager, co oznacza „Poprawczy Obóz Pracy“. Ludzie, których zamierzano „poprawić“, byli — z wyjątkiem paru notorycznych kryminalistów — przyzwoitymi i dobrymi obywatelami; skazano ich na pięć, osiem lub dziesięć lat więzienia jako „trockistów“, „nacjonalistów“, „kułaków“ i „szpiegów“. Większość z nich zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że uwięzienie stanowi tylko dogodny pretekst, aby zmusić ludzi do ciężkiej i bezpłatnej pracy w najprymitywniejszych warunkach.

Obóz został założony w roku 1937 w sercu puszczy archangielskiej, w ramach planu przemysłu drzewnego. Pierwsi więźniowie musieli budować baraki i wyrąbywać strefę obozową w temperaturze 30—40 stopni poniżej zera. Ich dzienna racja żywnościowa składała się z dwóch porcyj zupy i jednego funta czarnego chleba. Nieliczni pozostali przy życiu więźniowie z owych lat opowiadali mi w roku 1940, że wśród „pionierów“ była dość znaczna liczba wykwalifikowanych inżynierów-leśników, którzy nigdy w życiu nie słyszeli o polityce i o „kontrrewolucyjnych odchyleniach“.

„Zapytuję was uczciwie — pisze p. Stachanow — czy praca przymusowa, praca wykonywana pod przymusem, mogłaby być tak wydajna?“ Uczciwe pytanie zasługuje na równie uczciwą odpowiedź. Ja osobiście, pracując jako tragarz na bazie żywnościowej Kargopolskiego obozu pracy przymusowej, wyrabiałem około 150—170 procent normy (która wynosiła 25 ton mąki na człowieka dziennie) i nazwisko moje znalazło się nawet na „czerwonej tablicy rekordzistów Kargopolskiego ruchu stachanowskiego“. Czy praca może być tak wydajna pod przymusem? — zapytuje p. Stachanow. Tak, gdy się jest głodnym i ma się nadzieję zarobienia dodatkowego pół funta chleba dziennie, można pracować naprawdę bardzo wydajnie. A jedyne, czego wówczas pragnąłem, to było — przeżyć.

Stachanowcy obozów pracy przymusowej w Rosji sowieckiej nie otrzymują „tytułów Bohaterów Pracy Socjalistycznej“, gazety nie wspominają o nich nigdy i nie „układa się o nich pieśni“. Ale oni sami komponują o sobie pieśni. Pamiętam jedną z nich. Zaczyna się od ironicznego nawoływania do wstąpienia w szeregi ruchu stachanowskiego, a kończy się smutnym refrenem, że „nie pójdziesz nawet do szpitala, bo wszystkie szpitale są pełne“. Dużo w tym jest prawdy. W obozie Kargopolskim był tylko jeden mały szpitalik o paru łóżkach i znacznie większy barak dla zupełnie wycieńczonych robotników, spełniający rolę kostnicy, do której składa się ludzi przed pogrzebem.

Gustaw Herling-Grudziński

DO CZEGO ZMIERZA Z. S. R. R.?

Do czego zmierza Związek Sowiecki w swej polityce gospodarczej wobec swych satelitów w Europie Środkowej i Wschodniej? — fascynujące pytanie, na które próbują odpowiedzieć dwie prace ogłoszone ostatnio, obie — pod autorytatywnym patronatem. Jedną jest raport Europejskiej Komisji Gospodarczej (ECE), drugą opracowanie specjalne Międzynarodowego Biura Fabianów*).

Ciekawe, że obie prace akcentują przede wszystkim negatywną stronę swych sugestii: tę mianowicie, że Związek Sowiecki nie ma wobec rejonu satelickiego takich samych zamiarów, jakie względem niego żywiła Rzesza Niemiecka. Podczas gdy Niemcy były nabywcą żywności i surowców oraz dostawcą artykułów przemysłowych — wywodzi raport ECE — Związek Sowiecki jest przede wszystkim źródłem zaopatrzenia w surowce i żywność oraz rynkiem dla wytworów przemysłu; stąd — podczas gdy Niemcy przeszkadzały uprzemysłowieniu tego rejonu, ZSRR sprzyja mu i popiera je.

Bardzo bliska temu poglądowi jest teza autora opracowania fabiańskiego, McKitterick'a. Polityka gospodarcza Rzeszy w tym rejonie — podkreśla on — wynikała z doktryny Lebensraumu (niemieckiego „obszaru życiowego“), która całemu obszarowi środkowo- i wschodnio-europejskiemu nadawała charakter kolonii niemieckiej; zgodnie z tą doktryną, Niemcy narzucały obszarowi taki typ produkcyjny, jaki odpowiadał interesowi niemieckiemu, a presją polityczną i gospodarczą wyciskały z rejonu jego wytwory, pozostawiając mu tylko najniezbędniejsze minimum, innymi słowy — obniżając jego stopę życiową. Natomiast Związek Sowiecki jako kraj o stosunkowo niskim jeszcze potencjale przemysłowym pragnie znaleźć w rejonie uzupełnienie tego potencjału; dlatego też — wedle hipotezy p. McKitterick'a — kieruje się celami, które możnaby streścić następująco:

1) uprzemysłowienie rejonu — jako koncepcja długofalowa — a w związku z tym zwiększenie produktywności i stopy życiowej krajów rejonu;

2) podział pracy między Związkiem Sowieckim a krajami satelickimi — w celu ustabilizowania rynków, wykluczenia współzawodnictwa i wytworzenia systemu o wzajem uzupełniających się częściach składowych („komplementarnego“);

3) popieranie handlu rejonu z resztą świata, w celu zdobycia sprzętu i maszynerii, niezbędnych dla wykonania planu uprzemysłowienia;

4) pośrednio (przez zrealizowanie trzech celów, które zestawiliśmy powyżej) upewnienie się, że rejon raz na zawsze przestanie „zerkać“ ku Niemcom jako swej bazie przemysłowej (najwidoczniej Niemcy są w tezie McKittericka najgroźniejszym potencjalnym nieprzyjacielem Związku Sowieckiego).

Kontrast między intencjami Niemiec i Związku Sowieckiego — taki, jakim go przedstawiają obie prace — wydaje się w pewnej przynajmniej mierze prawdziwy. Ale w obu z nich, a zwłaszcza w opracowaniu fabiańskim, kontrast ten został tak wyretuszowany, iż niepodobna oprzeć się idyllicznemu złudzeniu, jakoby Związek Sowiecki w gruncie rzeczy kierował się wobec rejonu jakąś szlachetną i bezinteresowną wspaniałomyślnością!

Zgodzić się trzeba, że w odróżnieniu od Niemiec Związek Sowiecki w zasadzie dąży do uprzemysłowienia i tym samym podniesienia wydajności rejonu, czego — w specyficznym układzie warunków tego rejonu — nie osiągnie, jeżeli obniży istniejącą tam stopę życiową. Ale ta koncesja wobec poglądów obu prac nie wyczerpuje bez reszty całego zagadnienia! W gruncie rzeczy na linię polityki gospodarczej sowieckiej wobec rejonu środkowo- i wschodnio-europejskiego składają się elementy jaskrawie sprzeczne i przeciwstawne.

Zainteresowany w utrzymaniu stopy życiowej satelitów, Związek Sowiecki jednak równocześnie (dzięki swemu stosunkowemu ubóstwu) stara się wydobyć od nich pewne ważne surowce na niekorzystnych dla nich warunkach (nafta rumuńska, węgiel polski itp.), a przede wszystkim stara się uzyskać za bezcen przeróbkę swych własnych surowców w przemysłach krajów satelickich!

Zainteresowany gospodarczo w zaopatrywaniu satelitów w sprzęt i maszyny przez Zachód, Związek Sowiecki ma zarazem polityczny interes w odgrodzeniu ich od wpływów Zachodu. Stąd paradoks, iż ZSRR skłania satelitów, by poszukiwali kapitału na Zachodzie za zapłatą, a zmusza ich — by rezygnowali zeń, gdy dostają go za darmo czy pół darmo (plan Marshalla).

W sumie, gdy jedne interesy sowieckie sprzyjają uprzemysłowieniu krajów satelickich i podniesieniu stopy życiowej ich ludności, drugie — przeciwstawne — działają w kierunku odwrotnym. Ogólny układ warunków na świecie wzmaga dzisiaj raczej te drugie. Stąd wypadkowa zapowiada się dziś mniej optymistycznie, niż to autorom obu prac się wydaje!

Alfred Zauberman

*) United Nations, Economic Commission for Europe: **„A Survey of the Economic Situation and Prospects of Europe“**, Genewa 1948; oraz T. E. M. McKitterick: **„Russian Economic Policy in Eastern Europe“**, Fabian International Bureau, Londyn 1948.

„STULECIE WIOSNY LUDÓW 1848—1948“

Wydział Kultury i Oświaty Zarządu Głównego S. P. K. rozpoczął wydawanie „Materiałów oświatowych“ w formie broszur. Broszura Nr. 1 nosi tytuł „Stulecie Wiosny Ludów 1848—1948“ i zawiera prace S. Jazówny, S. Mękarskiego, Z. Nowakowskiego i M. Czuchnowskiego oraz szereg wierszy i pieśni dotyczących tego okresu. Obok tego materiału, który stanowi sam przez się interesującą i pożyteczną lekturę, broszura zawiera nadto wskazówki, jak wykorzystać ten materiał dla organizowania obchodów rocznicowych. Całość pod redakcją dr. Zofii Kasprzyckiej. Okładka i układ graficzny Stanisława Gliwy. Cena broszury 2 sh. Do nabycia: Wydział Kultury i Oświaty SPK, 20 Queens Gate Terrace, London, S. W. 7 oraz Centralna Składnica Książek SPK, 57 Edbrooke Road, London, W. 9.

POPY

Opowiadanie z jesieni 1944 r. — z mającego się wkrótce ukazać zbioru reportaży i opowiadań p. t. „Ruski miesiąc".

Ostatniego żołnierza polskiego spotkała Borucka w końcu lipca, na parę dni przed wybuchem powstania, na drodze wiejskiej, którą niedawno uciekali Niemcy. Doganiał mały oddziałek chłopców, zdążających ku Warszawie. Zwykłe ubranie cywilne i biało-czerwona opaska na ramieniu. Oto całe umundurowanie żołnierza Armii Krajowej. „Szczęść Boże!" — „Wolność!" — wymienili pozdrowienia, mijając się w ten dzień niezwykły przed nadchodzącą Zmianą.

W dwa miesiące później, gdy Zmiana stała się już cząstką nowej teraźniejszości, ujrzała Borucka pierwszego żołnierza polskiego. Było to również na drodze wiejskiej, ale innej. Inaczej też wyglądał oficjalny już żołnierz w oficjalnym mundurze.

Ale historię trzeba opowiedzieć od początku.

Pod koniec września uradzono w domu Boruckich, że trzeba zrobić wypad gdzieś bliżej Warszawy, na Pragę. Po „języka". Trzeba spróbować wywiedzieć się czegoś o powstaniu i w ogóle zebrać trochę wiadomości o świecie. Olszynka, pozbawiona wciąż komunikacji, wie tyle tylko, ile jej opowiedzą żołnierze sowieccy, albo co zdoła wyrozumieć z „P r a w d y" czy „F r o n t o w i k a" — pism rosyjskich, w których znajduje te same wyuczone czy podyktowane słowa.

Wyrusza więc Borucka w drogę. Idzie w kierunku Warszawy wzdłuż zerwanych torów, roztrzaskanych wiaduktów, mija miejsca po stacjach, porównuje nowe ruiny miasteczek z okolicami Olszynki i dochodzi do wniosku, że te sztuczne ruiny są diablo do siebie podobne. Nie widać w nich tak samo solidnej roboty stuleci, romantycznych śladów ukąszeń „zęba czasu", wszystkie cechuje jednako prostacka pośpieszna robota pocisków, bomb. Jednym słowem szablonowe, standartowe neo-ruiny wojennego wyrobu.

Nie dochodząc do Pragi zbacza na drogę, wiodącą w kierunku odległego stąd o kilkanaście kilometrów osiedla, gdzie mieszkali przyjaciele. Żyją — nie żyją i może coś więcej wiedzą. Borucka nie zna dobrze drogi. Zazwyczaj dojeżdżała do przyjaciół pociągiem z Warszawy. Stacja znajdowała się o niespełna trzy kilometry od ich domu i z innej strony. Ale kierunek, jaki obiera teraz, jest z pewnością dobry. Niedobre jest natomiast pocharatane pole czy dawna łąka — najprędzej miejsce po uprzątniętym świeżo na użytek walk pozycyjnych niedużym lasku, dokąd zapakowuje się Borucka. W chwili, kiedy słyszy głos: „K u d a ?! k u d a ?!" — sama już orientuje się, że wdepnęła w nieuprzątnięte z min pobojowisko. Widzi żołnierzy z długimi tykami, jak sondują ziemię.

Idzie dalej, szuka skrótu, któryby pozwolił za dnia jeszcze dostać się na miejsce. Pustą drogę oświetla słońce, oświetla też ścianę pięknego lasu. „Nie pocięty tak bardzo jak nasz", wzdycha Borucka z maleńką domieszką zazdrości, w której nie brak zresztą i zadowolenia. Jest jednak przyjemna różnica w jednostajnym dotychczas widoku spustoszenia.

I na tle tego lasu postać żołnierza. Stoi odwrócony tyłem. Mundur właściwie jak każdy inny mundur wojny światowej. Ochronnej barwy, wmocnionej teraz prawie do jaskrawości ślizgającym się po drzewach i człowieku blaskiem słonecznym. Trzeba zapytać o drogę.

„I z w i n i t i e p a ż a ł u j s t a" — krzyczy Borucka bardzo jeszcze zdala, pragnąc zatrzymać głosem jedynego informatora, jaki się tutaj nawinął — „g d i e d a r o g a w . . ."

Podbiega szybciej. Mundur się odwraca i wówczas na czapce dostrzega Borucka polskiego orła.

„Wstyd! Nie widzi pani z kim mówi!"

Istotnie. Polski żołnierz. Oficer armii Berlinga.

„Widzi pan, panie poruczniku, zdaleka trudno rozróżnić. Jest pan pierwszym polskim żołnierzem, jakiego teraz widzę. Tam, skąd idę, jest tylko Czerwona Armia. Polski mundur i czapkę z orzełkiem widziałam po raz ostatni we wrześniu trzydziestego dziewiątego . . . A ostatni żołnierz, jakiego widziałam przed powstaniem — nie miał munduru, miał tylko opaskę . . ."

„Ach tak?!" — krzywi się berlingowiec. — „Niech pani powie wyraźniej — faszysta z A. K."

Borucką zatyka. Czuje jakieś drżenie kolan i łydek i walenie śpieszne w piersi. „Jak widzę niewiele się pomyliłam. Właśnie — i z w i n i t i e p a ż a ł u j s t a ! — panie poruczniku z polskim orłem!"

Tupie Borucka w piach przyleśnej drogi. Tupie i porucznik. Nienawiść od pierwszego wejrzenia. Ale trzeba mówić. Trzeba krzyczeć. Borucka szybko opowiada o olszynkowskim obozie, o rozstrzelaniu dwustu oficerów armii podziemnej w Lublinie przy wkraczaniu sowieckich wojsk, o łapankach i badaniach enkawudowskich na „oswobodzonych" terenach. Porucznik odkrzykuje coś o jedynej prawdziwej demokracji sowieckiej, o wielkiej roli Stalina w Rosji i świecie. Jeszcze jedno tupnięcie nogą z obu stron i rozstają się jak prawdziwi wrogowie.

Właściwą drogę odnajduje Borucka sama. Po dwóch godzinach kluczenia po rozkopanej, zjeżdżonej samochodami i czołgami okolicy wchodzi do domu przyjaciół. Są, żyją, odbyli również wędrówkę, wrócili i mieszkają u siebie — w kuchni i jednym pokoju. Resztę zajmuje wojsko. Jak w Olszynce. Ale niezupełnie. Tutaj bowiem stacjonuje nie Czerwona Armia, lecz wojsko polskie — armia Berlinga.

W kuchni obiera kartofle polski ordynans, a oto wchodzą dwaj oficerowie. Borucka daje upust swej napiętej ciekawości. Trzeba ich zapytać co wiedzą i sądzą o Warszawie, o terminie ofensywy na nią, w ogóle o perspektywach dalszych wojny w świecie . . .

„Przepraszam — zwraca się do przechodzących przez kuchnię — czy pan kapitan . . ."

Ale pan kapitan jeden i drugi uśmiechają się ślicznie i odpowiadają piękną ruszczyzną: „N i e p a n i m a j u . . ." Wówczas Borucka, rumieniąc się z niekłamanego zdumienia, odcina również po rosyjsku: „E t o j a n i e p a n i m a j u ! Przecież jesteście polskimi oficerami?!"

Kuchnia rozbrzmiewa dwugłosem rosyjskim: pięknym śpiewnym akcentem moskiewskim oficerów i nieco twardszą wymową rosyjską Boruckiej.

„Moja matka jest z pochodzenia Polką i w o t jestem w polskiej armii!" — prezentuje się pierwszy.

„A u mnie" — odzywa się drugi — „dziad był Polak. Ja się nawet wyuczył już parę słów po polsku". — I zwracając się do gospodyni kokietuje audytorium świeżo nabytą umiejętnością: — „W o t w a m „w e n g i e l" b u d i e t k w i e c z e r u. Będziecie mogli z a t o p i ć w piecu i ugotować kolację".

Gospodyni gotuje co dzień dla swych lokatorów, właśnie zbrakło już opału. „C h a r a s z o, c h a r a s z o" — uśmiecha się pobłażliwie do „ziomków".

Usiłuje Borucka oswoić się z nowym pojęciem — „wojsko polskie". Przez kuchnię defiluje coraz więcej dziwnych przedstawicieli nowego tworu.

Jedni przez ordynansa każą „d a ł a ż i t" o swym przybyciu, inni wprost zapytują: „M i c h a i ł I w a n o w i c z d o m a ?" — i walą do pokoju na górze, skąd słychać powitalne: „N u, n i e u ż e l i ?! K a k w y m i e n i a n a s z l i, S i e r g i e j N i k o ł a j e w i c z ?!"

Polski żołnierz w wyzwolonej Polsce. Marzenia i rzeczywistość. Cóż — nie pokrywają się one zazwyczaj w absolutnym znaczeniu. Ale tutaj rozbieżność między nimi jest chyba zbyt wygórowana. Dziwaczna. Borucka nie może dać sobie rady z tym zestawieniem, przyglądając się korowodowi Stiepanów Nikiticzów i Wadimów Siemionowiczów w polskich mundurach.

Wieczór zapada i trzeba przenocować u przyjaciół. Rozmawia Borucka z domownikami, opowiada o swych wojennych dziejach, wędrówkach, o swych czerwonych gościach, o niepokoju o męża, przyjaciół w Warszawie. Nie może też nie dać wyrazu zdumieniu z racji owych rosyjsko-polskich oficerów.

„Śmieszne są te popy, ale można z nimi wytrzymać" — śmieje się syn gospodyni.

„Jakie jeszcze znów popy?" — zapytuje Borucka.

„To pani nie wie?!" — dziwi się chłopak. — „Pełniący Obowiązki Polaków — tak już ich nazwali nasi".

Mądrość dowcipnej gadki przenika głęboko do świadomości Boruckiej. „Popy" w przybywającej ze wschodu polskiej armii — gdy polscy oficerowie siedzą w obozach lub ustąpili swych miejsc, sprzątnięci na zawsze przez dowództwo sowieckiej armii. „Popy" na miejscu rycerzy Podziemnej Armii . . .

Jednej z córek asystuje młody kapitanik. Najwyżej dwudziestotrzyletni. Flirt idzie na całego. Kapitan Bieliajew prosi, żeby go nazywano Bieliajewskim. Jest przecież oficerem polskiej armii — i zakochany w pannie Hani. Uczy się nawet pisać po polsku, bo panna Hania nie zna rosyjskiego i nie zrozumiałaby przysyłanych karteczek. Jedną przyniesioną właśnie przez ordynansa pokazuje Hania ze śmiechem: „M i ł a j a C h a n a", rozpoczyna się liścik pisany łacińskimi literami.

Wieczorem na polanie ma być wyświetlany film. Dla wojska i dla cywilów. Oczywiście to ciekawe. Borucka wybiera się również. Gospodyni nie ma czasu. Pannę „Chanę" prowadzi rozkochany „Bieliajewski". Borucka idzie sama. Przez ogród, lasek. Jest chłodny wieczór wrześniowy. Bardzo pogodny i księżycowy. Między dwiema tykami rozpięto płótno ekranu. Seans już dawno rozpoczęty. Pełno mundurów, trochę męskich cywilnych sylwetek. Reszta spódniczki. Przeciska się Borucka przez zebrany tłum. W programie słynna „T ę c z a" Wandy Wasilewskiej. Wersja rosyjska oczywiście. Po rosyjsku skarżą się i krzyczą bohaterowie z ekranu. Po rosyjsku wykrzykuje uwagi i gaworzy zebrane pod księżycem audytorium. Trochę pisków i śmiechów kobiecych dźwięczy zrozumiale dla wszystkich.

„P a z w o l t i e p a z n a k o m i t s i a?" — słyszy naraz Borucka pod swoim adresem.

Jakiś młody oficer, zmylony snać księżycem, zwraca się do niej — matki dorosłych dzieci — pochylając się poufale do ucha. Niewiasta śmieje się z poszukującego przygód młodzika. Śmiech ten przyjęty jest za dobrą monetę przyzwolenia.

„Potem ja was odprowadzę — c h a r a s z o ?"

„C h a r a s z o — nie c h a r a s z o, ale dlaczego mówicie do mnie po rosyjsku? Przecież widzę wyraźnie polskiego orła na waszej czapce. Jesteście oficerem polskim — czy nie?"

W przyciszonym głosie kobiety kłębią się nuty rozdrażnienia.

Oficerek bierze ją pod rękę i szepce: „Widzicie — ja jestem r u s k i — ale wstąpiłem do waszej armii, żeby pomóc Polsce".

Borucka ma dość tego galimatiasu. Niegrzecznym ruchem uwalnia rękę z przylepionej ręki rusko-polskiego oficera.

„Wracam już do domu. Ale pójdę sama" — mówi do zdziwionego wojaka oczywiście w jego rodzimej mowie.

I odchodzi szybko od owej „T ę c z y" rozpiętej w księżycowej poświacie dziwnym zaiste łukiem na polskim niebie i wtopionej w ruską mowę. Z góry pomrugują złote gwiazdy do tych czerwonych na dole, przeobrażonych naraz w srebrne orzełki.

Borucką oplątuje dziwne jakieś uczucie. Ni to zimna czy drętwoty. W chwili, gdy wsuwa się pod koc przygotowanego dla niej posłania, nadaje swemu stanowi konkretniejsze określenie: poczucie rozlewającej się wokół obcości, doznawanej po raz pierwszy chyba w życiu tak ostro i boleśnie.

Natalia Zarembina

Published by the Polish Socialist Press Trust, 8, Motcomb Street, London, S. W. 1, and printed by the Montgomeryshire Printing Company, Ltd., Newtown, Mont.